

NR 2 (25)

lutym

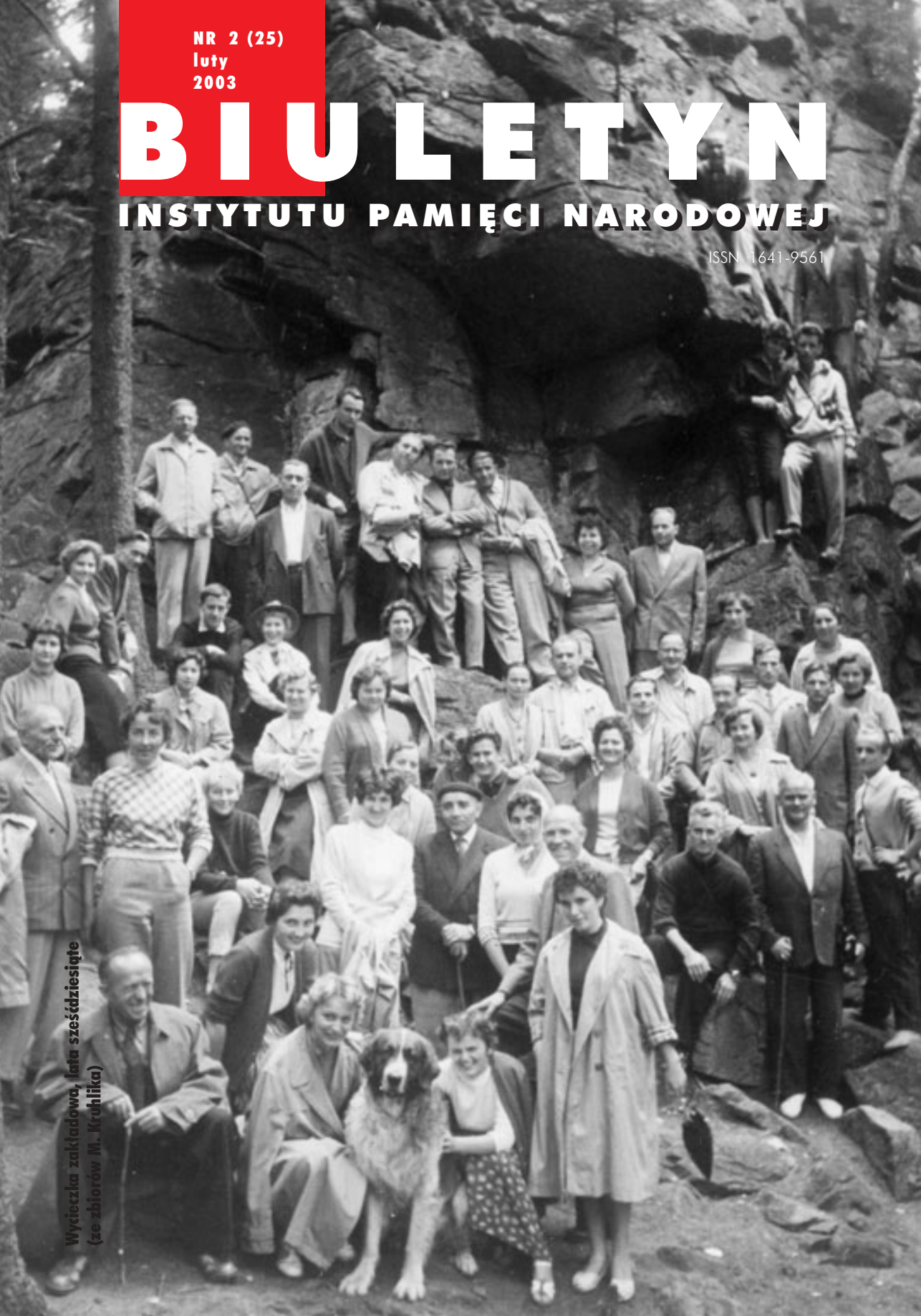
2003

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

ISSN 1641-9561

Wycieczka zakładowa, lata sześćdziesiąte
(ze zbiorów M. Kruhlika)



ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE

BIAŁYSTOK	15-637 Białystok, ul. Warsztatowa 1a Tel. (0-85) 664 57 03
GDAŃSK	80-308 Gdynia, ul. Witomińska 19 Tel. (0-58) 660 67 00 Fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	40-061 Katowice, ul. Kilińskiego 9 Tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	31-012 Kraków, ul. Reformacka 3 Tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	20-071 Lublin, ul. Wieniawska 15 Tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	91-479 Łódź, ul. Orzeszkowej 31/35 Tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	61-487 Poznań, ul. Rolna 45a Tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	35-060 Rzeszów, ul. Słowackiego 18 Tel. (0-17) 860 60 18
WARSZAWA	00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6 Tel. (0-22) 530 86 25
WROCLAW	51-168 Wrocław, ul. Sołtysowicka 23 Tel. (0-71) 326 76 00



BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN

Zespół redakcyjny: Redaktor Naczelny Władysław Bułhak,

Janusz Kotański, Paweł Machcewicz, Krzysztof Madej,

Małgorzata Łętowska, Barbara Polak

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński

Adres: 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28

Tel. (0-22) 581 89 25, fax (0-22) 581 89 26

e-mail: bep@ipn.gov.pl

<http://www.ipn.gov.pl>

Łamanie i druk: Zakład Wydawniczo-Poligraficzny MPiPS

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 2 (25)

LUTY

2003

SPIS TREŚCI

■ KALENDARIUM IPN	2
■ ROZMOWY BIULETYNU	
O ŻYCIU CODZIENNYM W PRL z Antonim Dudkiem, Zdzisławem Zblewskim i Marcinem Zarembą rozmawia Barbara Polak	4
■ KOMENTARZE HISTORYCZNE	
Łukasz Kamiński – CZY KTOŚ WIDZIAŁ SZYNKĘ?	28
Leszek Próchniak – RUCH ŁĄCZNOŚCI FABRYK Z WSIĄ 1948–1956	34
Tomasz Toborek – UKRAŚĆ CZY SKOMBINOWAĆ	40
Krzysztof Madej – MIĘDZY KWATERUNKIEM A KANDYDATEM NA CZŁONKA	42
Tomasz Chinciński – JAK DŁUGO ZAŁOGA BĘDZIE CZEKAĆ NA BUTY?	48
Sławomir Cenckiewicz – USUNĄĆ ZANIEDBANIA RESORTU!	52
Piotr Semków – W WALCE O CZYSTOŚĆ MORALNĄ	56
Grzegorz Majchrzak – SZOWINIZM I CHULIGAŃSTWO W SPORCIE	59
Aneta Nisiobęcka – ARTYŚCI W CZASIE OKUPACJI	63
■ RELACJE I WSPOMNIENIA	
Czesław Arkuszyński – NIE DAĆ SIĘ ZABIĆ	69
Krzysztof Szwaagrzyk – POLECENIE UŚMIERCENIA ZASTRZYKIEM	80

Kalendarium IPN

styczeń 2003

- 8 stycznia – w sali konferencyjnej IPN odbyło się pierwsze w tym roku **spotkanie Klubu Historycznego im. Stefana Roweckiego „Grota”**. Jego tematem były **„Społeczeństwo polskie i struktury Polskiego Państwa Podziemnego wobec zagłady Żydów”**. Referaty wygłosili prof. Tomasz Szarota i dr Andrzej Kunert. W dyskusji Jan Nowak-Jeziorański poparł tezę prof. Szaroty, że społeczeństwo polskie wykazało całą gamę postaw wobec Żydów w czasie drugiej wojny światowej: od heroicznego bohaterstwa, poprzez bierność, do nikkczemności. W spotkaniu uczestniczyli kombatanci oraz przedstawiciele Żydowskiego Instytutu Historycznego, a także nauczyciele i młodzież szkolna.
- 14 stycznia – gośćmi Instytutu Pamięci Narodowej byli **przedstawiciele „Stowarzyszenia Rodzina Policjyna 1939”**. Podczas spotkania dyrektor GKŚZpNP prof. Witold Kulesza oraz prok. Zbigniew Mielecki przedstawili **losy śledztwa w sprawie Zbrodni Katyńskiej prowadzonego w Polsce w latach dziewięćdziesiątych**. Uczestniczący w spotkaniu prezes IPN prof. Leon Kieres podkreślił, że śledztwo w sprawie Katynia zajmuje szczególne miejsce w pracach Instytutu.
- 15 stycznia – w Warszawie w siedzibie IPN odbyła się **promocja drugiego poszerzonego wydania albumu Żołnierze Wyklęci. Antykomunistyczne Podziemie Zbrojne po 1944 roku**, wydanego w wyniku współpracy Oficyny Wydawniczej „Volumen”, Fundacji „Pamiętamy” i oddziałów IPN. Album powstał dzięki udostępnieniu prywatnych zbiorów przez żołnierzy antykomunistycznego podziemia zbrojnego oraz dokumentów z archiwów UB – przez IPN. Publikacja zawiera około 1200 unikatowych zdjęć i dokumentów z lat 1944–1961 uzupełnionych indeksem nazwisk i pseudonimów.
- 21 stycznia – Sejmowa Komisja Sprawiedliwości i Praw Człowieka jednogłośnie przyjęła **Informację prezesa IPN prof. Leona Kieresa o działalności Instytutu Pamięci Narodowej w okresie od dnia 1 lipca 2001 r. do dnia 30 czerwca 2002 r.**
- prof. Witold Kulesza wziął udział w **posiedzeniu Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej**. Rada powstała w 2000 r. jako organ opiniotawczo-doradczy prezesa Rady Ministrów. Jej zadaniem jest współpraca z organami państwowymi w zakresie ochrony i utrzymania Pomników Zagłady, między innymi przez pozyskiwanie środków finansowych.
- 28 stycznia – podczas posiedzenia Senackiej Komisji Ustawodawstwa i Praworządności prezes IPN prof. Leon Kieres przedstawił **Informację o działalności Instytutu w okresie od dnia 1 lipca 2001 r. – do dnia 30 czerwca 2002 r.**
- 29 stycznia – prof. Witold Kulesza wziął udział w **uroczystości wręczenia medali „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata” jedenastu Polakom**, którzy z narażeniem życia ratowali Żydów podczas drugiej wojny światowej. Medale zostały przyznane przez Instytut Yad Vashem (Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu) w Jerozolimie. Wręczał je ambasador Izraela Szewach Weiss. **Trzech Polaków otrzymało dyplomy honorowego obywatela państwa Izrael.**

Przygotowali: Agnieszka Bajor–Zagórska, Anna Bilińska–Gut i Tomasz Poręba

STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW
ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

	listopad 2002 r.	od początku wydawania
BIAŁYSTOK	9	747
GDAŃSK	27	1956(583*+255**)
KATOWICE	10	1260
KRAKÓW	25	1382
LUBLIN	9	615
ŁÓDŹ	8	703
POZNAŃ	14	1327
RZESZÓW	14	830
WARSZAWA	21	1441
WROCŁAW	15	878
BUiA	15	1268(69)***
KONSULATY	0	213
RAZEM	167	12620
WNIOSKI ZREALIZOWANE		1905

wnioski przyjmowane w delegaturach: *Bydgoszcz, **Koszalin, ***Radom



ŻYCIE CODZIENNE W PRL

Z ANTONIM DUDKIEM, ZDZISŁAWEM ZBLEWSKIM I MARCINEM ZAREMBĄ ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Niełatwo jest opisać życie codzienne w PRL, choćby z tej przyczyny, że po 1944 r. – niezależnie od wszystkich politycznych zawiłości związanych z odbudową państwa o nowym ustroju i zmienionych granicach – kraj znajdujący się na skraju wojny i u progu pokoju był całkowicie zrujnowany. Niemniej jednak kilkadziesiąt milionów ludzi uściłowało normalnie żyć. To był pierwszy etap.

M.Z. – Codziennosc – według mnie – łączy się ze stabilizacją, ciągłością i przewidywalnością życia.

B.P. – Albo jest tylko biologicznym trwaniem w skrajnych warunkach.

M.Z. – Tuż po wojnie była to jeszcze „codziennosc wojenna”. Brakowało jakiegokolwiek stabilizacji. Być może pewnym elementem tej rzeczywistości był strach: przed Armią Czerwoną, frontem, NKWD, bandami... Strach – przeżywany na przemian z euforią – przed bezpieczeństwem i przyszłością. Ówczesna codzienność to wyjątkowo trudne warunki życia. Po 1945 r. sytuacja właściwie niewiele się poprawiła. W latach 1946 i 1947 miały miejsce strajki, związane z brakami w aprowizacji. Borykano się z niedostatkami węgla, czystej wody, żywności, ubrań itd.

A.D. – Do tego opisu trzeba wprowadzić pewne uzupełnienie. Nawet w tych skrajnie ciężkich warunkach występowało zróżnicowanie regionalne oraz podział na miasto i wieś. Inaczej wyglądała sytuacja na ziemiach odzyskanych, zwanych wtedy Dzikim Zachodem, gdzie przemieszczały się bandy szabrowników, a armia sowiecka poczyniła sobie znacznie brutalniej niż w regionach centralnych. Inna była rzeczywistość w dużych miastach, ale i tu wiele zależało od tego, czy chodziło o całkowicie zrujnowane Warszawę i Wrocław, czy też o niezniszczony Kraków. W pozostałych miastach żyło się jakby pomiędzy dwoma tymi skrajnymi sytuacjami. Z kolei na wsi było nieco łatwiej. Wprawdzie brakowało węgla i artykułów przemysłowych, ale ludzie przez lata okupacji przyzwyczaili się do tego. Na wsi – zwłaszcza w niektórych regionach – znacznie wyraźniej niż w miastach rysował się problem zbrojnego podziemia.

B.P. – Były wsie spacyfikowane i spalone, w czasie wojny i po wojnie.

A.D. – Niemniej wydaje mi się, że jeśli codzienność lat 1945 i 1946 była zbliżona do tego, co rozumiemy przez pojęcie wcześniej zdefiniowanej codzienności, to taka była właśnie na wsi. Destabilizacja sytuacji w miastach trwała jeszcze przez kilka lat po wojnie. Zwłaszcza że zmiana

rzeczywistości politycznej rozpoczęła się od instalowania się władzy w miastach.

Z.Z. – Lata 1944–1947 są postrzegane najczęściej przez pryzmat procesu instalacji peerelowskiej rzeczywistości. Jednocześnie był to okres agonii codzienności dwudziestolecia międzywojennego – to znaczy mody, sposobu zachowania się, obowiązujących dotąd form grzecznościowych, zwyczajów codziennego życia. Przykładowo krakowski działacz socjalistyczny Zygmunt Żuławski nie widział wówczas niczego niewłaściwego w zatrudnianiu służącej, a kilka lat później było to już nie do pomyślenia. Ten okres jest dość szczególny i z tego powodu, że mamy w nim do czynienia z przenikaniem do rzeczywistości codzienności wojennej – moda na angielskie battledressy czy amerykańskie papierosy – i przedwojennej. W latach 1947–1948 pojawiły się nowe wzorce w ubiorze, literaturze, filmie. Te lata można umownie uznać za początek czasów, w których realia peerelowskiej codzienności zdobywały przewagę nad tymi istniejącymi poprzednio.

M.Z. – Koniec pewnych mód i stylów życia nie nastąpił podczas drugiej wojny czy w okresie stalinowskim. Na przykład w Krakowie można mówić o długo trwających zjawiskach społecznych czy stylach życia. Zwłaszcza mieszczańskie zwyczaje – szczególnie w okresie stalinowskim – niszczone i spychano na margines. Notabene później, w latach siedemdziesiątych, socjologdy odnotowali renesans mieszczańskiego stylu życia.

B.P. – Chcę wrócić do tego wcześniejszego okresu. Stabilizacji życia w latach pięćdziesiątych towarzyszyły – o czym wspominał jeden z panów – usuwanie i izolacja, a nawet schyłek obyczajowości i innych norm obowiązujących w przedwojennych grupach społecznych, w tym form grzecznościowych. Coraz rzadziej używano form „szanowna pani” na rzecz „towarzyszko”, „koleżanko”, „obywatelu”. Myślę, że zmiany języka bardzo dobrze ilustrują przekształcenia społeczne. Ponadto ogromne powojenne migracje przyczyniły się do przeniesienia w głąb Polski elementów kultury kresowej – codziennej i materialnej, na przykład w obrzędowości świątecznej. Poza tym, wraz z odbudową i rozbudową przemysłu, następowały znaczne przemieszczenia ludności wiejskiej do miast, która też wniosła do nich pewną specyfikę. Wystarczy przypomnieć obserwowany ze zgrozą przez mieszczuchów zwyczaj rozwieszania prania na balkonach czy podwórkach. Zmian w codziennym życiu społecznym było znacznie więcej, dokonywały się na wszystkich poziomach. Każda grupa społeczna starała się przy tym jak najprędzej odzyskać utracone poczucie normalności. Mam wrażenie, że władzy było to na rękę, był to bowiem jeszcze jeden sposób na umocnienie jej pozycji politycznej i utrwalenie zmian społecznych. To pokazywało, że wszyscy Polacy budują nowe życie – odbudowują kraj.





M.Z. – Powiedziała pani o migracji kresowian i przenoszeniu obyczajowości. Chcę zwrócić uwagę na zmiany, jakie się dokonywały w związku z tymi migracjami, zwłaszcza z ziem wschodnich Rzeczypospolitej na ziemie zachodnie. Pamiętam drukowane w „Karcie” wspomnienia chłopaka, który z matką i siostrą przejechał z Wołynia na tereny poniemieckie. Gdy się osiedlili, mieszkali tam jeszcze Niemcy. Ogromne wrażenie zrobiły na nim nie tylko bite drogi, murowane domy i bieżąca woda, ale również to, że Niemki chodziły z odkrytymi głowami lub w kapeluszach, a w jego wołyńskiej wsi wszystkie kobiety nosiły na głowach chustki. Najpierw lęk związany z nienoszeniem chustki przetamała siostra. Początkowo z gołą głową chodziła tylko w domu. W jej ślady poszła matka, tyle że najpierw po mieszkaniu chodziła w ręczniku na głowie. Uogólniając – te migracje powodowały zmiany w życiu codziennym, modernizację obyczajową.

B.P. – **Na pewno wraz ze zmianą miejsca następowała również konfrontacja nie tylko obyczajowości, ale i technik życia, typów gospodarowania.**

A.D. – Modernizacji życia ludzi, przeniesionych na ziemie zachodnie ze znacznie słabiej rozwiniętych gospodarczo Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, towarzyszyło poczucie tymczasowości. Ich codzienność była niecodzienna. Mieli bowiem poczucie niestabilności związane z powszechnym przekonaniem, że nieuchronnie wybuchnie kolejna wojna. Mam wrażenie, że dopiero po podpisaniu układu granicznego w 1970 r. ludzie ci trochę się oswoili z myślą pozostania na ziemiach zachodnich. Ziemie zachodnie są odrębnym, wielkim tematem.

M.Z. – Równie dobrze to samo można powiedzieć o Białostocczyźnie, gdzie żyło się w przekonaniu, że znowu – podobnie jak między wrześniem 1939 r. a czerwcem 1941 r. – zostanie przyłączona do Związku Radzieckiego. To właśnie tam najczęściej powtarzały się pytania, czy będziemy siedemnastą republiką. Ten strach odżył na początku lat pięćdziesiątych, kiedy dokonywano korekty granicy wschodniej.

B.P. – **Kolejny wątek to prowincja, w szczególności wsie, których mieszkańcy mieli codzienne kontakty z podziemiem niepodległościowym. To specyfika nieznaną mieszkańcom miast.**

Z.Z. – Można zaryzykować twierdzenie, że przynajmniej na niektórych terenach, przykładowo na wspomnianej Białostocczyźnie, przez lata okupacji sowieckiej, niemieckiej, a potem znów sowieckiej, podziemie stało się pewnym elementem życia codziennego. Miejscowi ludzie zdążyli się już przyzwyczaić do „chłopców z lasu” i utożsamiać się z nimi, zwłaszcza że wielu partyzantów pochodziło z ich miejscowości, byli to ich bracia, ojcowie, synowie, sąsiedzi. W tym kontekście określanie partyzantki nie-



Uczniowie, lata sześćdziesiąte (ze zbiorów M. Kruhlika)



Dzieci, lata pięćdziesiąte (ze zbiorów A.B.)



Mydło „Jacek i Agatka” (bohaterowie telewizyjnej dobranocki) lata siedemdziesiąte

podległościowej mianem „kspiracji” może być o tyle nieściste, że okoliczna ludność bardzo często doskonale wiedziała lub przynajmniej domyślała się, kto w tej kspiracji czy partyzantce działał i nocą szedł do lasu, a w dzień powracał do domu. Nie donosiła jednak Niemcom, Sowiecom czy komunistom, bo „leśni” to byli „swoi”, a tamci – „obcy”. Pomiędzy partyzantami a miejscową ludnością zawiązywała się w ten sposób swego rodzaju umowa społeczna. „Chłopczy z lasu” stawiali się częścią akceptowanej przez lokalną społeczność rzeczywistości.

M.Z. – Zgoda, ale trzeba pamiętać, że ta partyzantka przekształcała się. Coraz częściej ludność miała do czynienia z półbandami, a coraz mniej z kspiracją. Trudno się do strachu przyzwyczaić. Prawdą jest, że codzienność – jeśli można używać tej kategorii dla okresu zaraz po wojnie – jest pełna niepewności, zwłaszcza na prowincji. Chłopi trzymali broń pod łóżkiem, niemalże wszyscy na noc się barykadowali. Takie zachowanie było charakterystyczne szczególnie na ziemiach zachodnich, ale w gruncie rzeczy dotyczyło to całej prowincji.

Cechą życia codziennego, przynajmniej do początków lat siedemdziesiątych – później powtarza się to w latach osiemdziesiątych – jest to, że społeczeństwo jest spauperyzowane. Co to oznacza? Badania socjologiczne prowadzone nad społeczeństwem chłopskim w południowych Włoszech wskazują, że bieda oznacza zawężenie perspektywy społecznej do koncentracji na problemach własnej rodziny i pomijanie tego, co znajduje się poza nią, a także ograniczenie wizji przyszłości do własnego życia. Było to życie z dnia na dzień. Nie myślało się dalekosiężnymi kategoriami, na przykład o wzięciu pożyczki. W Peerelu też nikt nie myślał w ten sposób. Ludzie żyli od pensji do pensji. To ważny aspekt życia codziennego w Polsce Ludowej.

Kolejną charakterystyczną cechą była uniformizacja życia codziennego. Przed wojną mieliśmy wielość modeli stylów życia. Inaczej żyła polska inteligencja, odmiennie chłopi, na swój sposób robotnicy, istniała bowiem specyficzna kultura robotnicza. Były też bardzo silne regionalizmy: życie na Śląsku i życie na Kresach to były różne światy. W wyniku drugiej wojny światowej, przemian społecznych i procesów wewnątrzsystemowych dochodziło do uniformizacji. Mieszkanie przeciętnego Polaka – szczególnie tego mieszkającego w dużym mieście – wyglądało podobnie. Tak było mniej więcej do lat siedemdziesiątych.

A.D. – Ten proces zaczął się na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy ruszyło masowe budownictwo mieszkaniowe. Najbardziej znanym przykładem jest Nowa Huta, ale takich miast-osiedli budowano więcej. Powstawały – jak na warszawskim MDM – podobne mieszkania z niemal identycznym wyposażeniem. Niemniej zastanawiam się, czy w tym opisie nie ulegamy lansowanemu wówczas stereotypowi. Na pewno w określony sposób miała żyć społeczność Nowej Huty, miało być to nowe socjalistyczne społeczeństwo. Jednak później – poczynając

od Adama Ważyka i jego *Poematu dla dorosłych* – okazało się, że to wszystko wyglądało inaczej niż te socjalistyczne obrazki. Zastanawiam się, jak dalece ta uniformizacja rzeczywiście nastąpiła, czy my nie ulegamy pewnemu złudzeniu. Czy nie jest tak, że tak żyli tylko ci, którzy wtedy awansowali, których władza ludowa wciągnęła w swoje tryby. Dziewczętom i chłopcom, których wciągnięto do ZMP, nakładzono do głowy różne rzeczy, oni w to uwierzyli i żyli tak, jak partia przykazała, wedle zalecanych propagandowo reguł. W rzeczywistości zaś funkcjonowało „drugie” społeczeństwo, na przykład w Warszawie byli to bikiniarze, a na wsi, gdzie propaganda z trudem docierała, mieliśmy do czynienia z kontynuacją wzorców wypracowanych przed wojną. PRL miała tam bardzo powolny wpływ na zmiany w zachowaniu i mentalności.

B.P. – Pod warunkiem że nie było tam PGR.

A.D. – Tak. To specyficzny wytwór i rzeczywiście trzeba rozdzielić wieś na spółdzielczą czy pegeerowską i tę zwykłą.

Codziennosc peerelowska zaczyna się różnicować już w latach pięćdziesiątych w tym sensie, że inna jest codzienność w sferach, w które władza głęboko zaingerowała, nowych osiedlach mieszkaniowych niż w społecznościach, których władza nie zdołała do końca poruszyć, porządkując nimi. Inaczej żyło się w takich krakowskich dzielnicach, jak Kazimierz czy Podgórze, a inaczej w Nowej Hucie. Codziennosc w Nowej Hucie wyglądała odmiennie, co nie znaczy, że tak, jakby władze chciały.

M.Z. – Będę się upierał. Masz rację, mówiąc, że inaczej żyje się w Krakowie niż na warszawskiej Pradze czy w Nowej Hucie. Niemniej, jeśli spojrzeć na tę mozaikę – na świat sprzed września 1939 r. i świat po roku 1945, to widać, że toczył się pewien proces zmierzający do uniformizacji. Małe zróżnicowanie tak charakterystyczne dla Polski przedwojennej.

B.P. – Może to banalne, co powiem, ale uniformizacja była wymuszona chociażby tym, że w całym kraju wszystko miało te same ceny, dostępne były te same produkty. To jeden z bardzo istotnych powodów uniformizacji. Wszyscy chodzili w takich samych trzewikach, podobnych paltotach, czapkach, bluzkach, nie mówiąc już o taśmowej produkcji standardowych mebli.

Z.Z. – Jeżeli przez pojęcie uniformizacji rozumiemy proces z góry narzucony i stymulowany przez władze, to warto dodać, że reakcją części społeczeństwa była konformizacja, przejawiająca się między innymi podejmowaniem prób dostosowania tradycyjnych wzorców zachowań do wymagań stawianych przez władze. Przykładowo w 1946 r. koło PPR w Muszynie otrzymało sztandar partyjny. Obecni na zebraniu członkowie nie byli jednak zachwyceni, gdy okazało się, że sztandar nie zostanie poświęcony. Okazali niezadowolony również dlatego, iż zgodnie



ze swymi wyobrażeniami oczekiwali, że na sztandarze zostanie umieszczony wizerunek Chrystusa. Innymi słowy, przyjęli postawę: chcą, żebyśmy byli komunistami – zgoda, lecz religijnymi.

Wydawać by się mogło, że proces ingerencji „nowego” w tradycję był szczególnie duży w Nowej Hucie. Zgoda, choć warto zwrócić uwagę, że – pomijając specyficzne lata osiemdziesiąte – do największej eksplozji niezadowolenia mieszkańców tej dzielnicy doszło w kwietniu 1960 r. Nie stało się to bynajmniej z przyczyn ekonomicznych, lecz dlatego, że władze komunistyczne brutalnie zaingerowały w wyznawany przez znaczną część tej społeczności tradycyjalistyczny system wartości. Mieszkańcy Nowej Huty w znacznej części wywodzili się ze środowisk wiejskich, traktowali swoje nowe miejsce zamieszkania jak wielką wioskę. Nie wyobrażali sobie jej istnienia bez stojącego pośrodku kościoła, organizującego ich rzeczywistość w sensie dosłownym i w przenośni. Uczestnicząc, a właściwie będąc przedmiotem zakrojonego na szeroką skalę eksperymentu społecznego, społeczeństwo Nowej Huty w ten sposób odcisnęło na nim własne piętno.

B.P. – Odzyskiwanie przez społeczeństwo poczucia normalności polegało na tym, że usiłowało zaadaptować to, co je otaczało, do swojej mentalności i tradycji. Chciało w ten sposób tę rzeczywistość oswoić.

M.Z. – To zjawisko neotradycjonalizmu. Po czasie wielkiej rewolucji okazało się, że zmiany wcale nie poszły tak daleko, a sam system, żeby istnieć, musi przyjąć warunki charakterystyczne dla danej społeczności. Weźmy tradycyjny styl życia w Czechosłowacji, gdzie władze nie negocjowały tego, że trzeba napić się piwa. Wyraźną cezurą, jeśli chodzi o „konformizację”, jest dla Polski 1956 r. Do mniej więcej lat 1953 i 1954 ludzie liczyli się z wybuchem trzeciej wojny światowej, czekali końca komunizmu.

Ostatnio badam listy przejęte przez Biuro „W” MBP i MSW zajmujące się inwigilacją korespondencji. Autorka jednego z listów po śmierci Stalina zapisała: „Dzisiejsza wiadomość dodała otuchy i wiary w lepsze życie. Jestem radosna i dodało mi sił do przetrwania”. Po 1956 r. takie wypowiedzi są niestychanie rzadkie. Pojawia się brak alternatywy i konstatacja, że jakoś, tak czy inaczej, trzeba się zaadaptować, bo nie ma nadziei na zmianę sytuacji ustrojowej. Tym bardziej że wraz z ewolucją systemu w kierunku modelu państwa opiekuńczego coraz lepiej się żyje. Pogłębiało to „proces konformizacji”.

A.D. – Mówisz, że ludzie zaczęli się „konformizować” i godzić, bo nie widzieli alternatywy, ale może też dlatego, że przestali się bać tak bardzo, jak dotąd.

M.Z. – To prawda, że konformizm jest związany z lękiem. Myślę, że strach cały czas był obecny w świadomości społecznej aż do końca lat osiemdziesiątych.

A.D. – Niemniej po 1956 r. poziom lęku obniża się i to ułatwia przystosowanie się do nowej rzeczywistości. Jeśli człowiek boi się mniej niż dawniej, to znaczy, że przyswaja sobie ten system. Kluczem do zrozumienia tego, jak społeczeństwo w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych coraz bardziej wchodziło w tę peerelowską rzeczywistość, jest fakt zmniejszenia spirali strachu. Ludzie zaczęli się mniej bać, a jednocześnie zrozumieli, że żadnej radykalnej zmiany nie będzie, upadek komunizmu nie nastąpi. Równocześnie poczuli, że w tym systemie da się żyć, więc siłą rzeczy zaczęli go akceptować. Werbalnie nie – na imieninach, przy wódce, dalej mówiono, że komuna jest do d..., żeby diabli by wzięli tych komunistów. Niemniej ten system dawał coraz większe możliwości awansu, nie trzeba już było robić rzeczy tak obrzydliwych, jak przed 1956 r., żeby dostać wyższe stanowisko. Wystarczyło zapisać się do partii, ona nie była taka jak dawniej, nie odbywały się już nieustanne zebrania, na których demaskowano wrogów i wykańczano ludzi. Poza tym rozpoczął się proces umasowienia partii, przyjmowano tych, którzy wcześniej nie mogli do niej należeć.

M.Z. – To bardzo ważna cecha życia społecznego i codziennego – dualizm, polegający na oddzieleniu świata prywatnego, rodzinnego od świata zewnętrznego – instytucji, partii, rzeczywistości oficjalnej, kontrolowanej. Codziennosc prawie każdego Polaka zaczęła koncentrować się przede wszystkim na życiu rodzinnym. Dom stał się miejscem, w którym można mówić, co się chce. Tu partia i władza nie sięgały, można było w sposób naturalny, niewymuszony organizować sobie życie. To jest bardzo ważna cecha życia codziennego. Nobilitacja prywatności rozpoczęła się w latach sześćdziesiątych. Wówczas też wzrosło znaczenie takich świąt i rodzinnych rytuałów, jak pierwsza komunika i obchodzenie imienin.

B.P. – **A jednocześnie w latach siedemdziesiątych pojawił się zwyczaj bardzo uroczystej oprawy ślubów cywilnych, to też była specyfika tego okresu, związana zapewne z laicyzacją społeczeństwa. Budowano pałace ślubów. Ludzie to kupowali. Pan mówi o intymności życia rodzinnego, ale dokładnie w tym samym czasie niejako upubliczniło się to życie, przy okazji na przykład właśnie ślubu.**

A.D. – Śluby cywilne i ich uroczysta otoczka – wydaje mi się – były elementem inżynierii władz. Urząd do spraw Wyznań w latach sześćdziesiątych zaczął projektować rozwijanie świeckiej obrzędowości: bo – jak zakładano – ludzie tego chcą. Dla władz była to jednak przede wszystkim znakomita metoda walki z Kościołem – nie represjami administracyjnymi, ale świecką obrzędowością.

M.Z. – To było związane z rytualizacją życia w ogóle. Podobnie jak prywatki – tak charakterystyczne dla codziennego życia polskiej młodzieży



w PRL. Ludzie spotykali się, bawili, świętowali w domu, w miejscu prywatnym. Nie wychodzili na ulicę. Życie codzienne Polaków po pracy nie było życiem ulicznym, tak jak w wielu krajach południa czy północy, gdzie ludzie spotykali się, i robią to nadal, w pubach czy kawiarniach. Polską specyfiką był dom i mieszkanie, miejsce, gdzie można było być naturalnym i spontanicznym, tu bowiem macki władzy nie sięgały.

A.D. – Charakterystyczne dla rzeczywistości lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych były stynne imieniny. Obyczaj obchodzenia imienin z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stanowił o specyfice tamtej epoki. Nic nie wiem o tym, żeby tak było przed wojną. Owszem, były przyjęcia urodzinowe. Nie odbywały się jednak na takiej zasadzie, że zapraszało się kolegów z pracy i robiło wielką imprezę towarzyską, najpierw w pracy, później w domu. Do dziś pozostałości takiego obyczaju można obserwować w kulturze biurowej, w urzędach państwowych. Wraz z upadkiem PRL zwyczaj ten stopniowo zanikał. Tych hucznie obchodzonych imienin nie można porównać ani z czasami przedwojennymi, ani z tym, co było po wojnie. W taki specyficzny sposób zastępowano więzi, których nie było, bo władze firmowały wszelkiego rodzaju stowarzyszenia i aktywność w nich była czymś innym. Spontaniczne kontakty międzyludzkie odbywały się właśnie na imieninach. To erzac, namiastka form zaangażowania się czy życia towarzyskiego w szerszym gronie. Na imieninach, często w tych małych spółdzielczych mieszkankach, spotykało się dwadzieścia, trzydzieści osób.

Z.Z. – Wydaje mi się, że ów proces rozkwitu życia prywatnego w okresie PRL jest w dużej mierze odrodzeniem się tego, co było przed wojną. Społeczeństwo dwudziestolecia międzywojennego było silnie powiązane ze sobą licznymi więzami, nie tylko zawodowymi, ale przede wszystkim rodzinno-towarzyskimi.

M.Z. – Zgoda, ale prof. Stefan Nowak w 1979 r. w artykule opublikowanym w „Studiach Socjologicznych” (nr 4) zwrócił uwagę na powojenną społeczną próżnię. Polacy przed wojną bez wątplenia żyli przede wszystkim życiem rodzinnym, ale istniało wówczas również wiele form kontaktów pozarodzinnych: związki zawodowe, silne partie polityczne, stowarzyszenia, chóry itd. Ludzie mogli aktywnie uczestniczyć w tych organizacjach, bez skrępowania realizować swoje ambicje.

B.P. – Chcę jeszcze wrócić do tego, o czym panowie mówili, mianowicie do tego, że zmniejszyła się strach. Myślę, że jego agonია miała dwie fazy. Po stalinizmie stopniowo wygasła lęk przed bezpośrednim terrorem, donosami, aresztowaniami, ale powrócił strach przed wojną. Pamiętam takie okresy destabilizacji sytuacji międzynarodowej: kryzys kubański w 1962 r. czy zaostrzający się konflikt rosyjsko-chiński. To się przekładało na kolejki w sklepach, ludzie zaczynali



Międzynarodowy Dzień Dziecka, Warszawa, lata siedemdziesiąte,
(ze zbiorów A.B.)



Spacer w ortalionach i z tranzystorami, Warszawa, lata sześćdziesiąte
(ze zbiorów A.B.)



Przedszkolaki, lata pięćdziesiąte (ze zbiorów A.B.)

robić zapasy. Strach przed wojną, umiejętnie podsycany propagandą, był jednym ze sposobów, którym usiłowano spacyfikować społeczeństwo.

M.Z. – Strach przed wojną istnieje w społeczeństwie polskim od 1946 r. Po przemówieniu Winstona Churchilla w Fulton, w okresie stalinowskim niemalże co miesiąc dochodziło do paniki i wykupywania wszystkiego. W latach sześćdziesiątych wystarczyło kilka wezwań do komisji poborowej i w całym powiecie znikał cukier. W czasie kryzysu berlińskiego w 1961 r. i rok później podczas kryzysu kubańskiego mamy do czynienia z paniką wojenną, która w istocie objęła cały kraj. Mówiąc o agonii strachu, myślimy tylko o strachu przed władzą. Nie jestem do końca pewny, czy mamy do czynienia z agonią, czy z obniżeniem się jego poziomu. We wspomnieniach – chociażby ze stanu wojennego – widać, jak ludzie bali się władzy. Były też inne kategorie strachu: tego związanego z podwyżkami i innymi trudnościami życia codziennego; lęki: czy pensja starczy do pierwszego albo – jak w latach osiemdziesiątych – czy będzie można wykupić kartki.

B.P. – ...czy dostaniemy się do pociągu, jadąc z dziećmi na wczasy...

M.Z. – ...dlatego ludzie chcieli kartek, bo nie trzeba stać godzinami i będzie można coś dostać. Symbolem związanym z rzeczywistym strachem był cukier. Ilu ludzi miało cukier schowany w szafie czy za kanapą! To też był miernik polskiego strachu. Był lęk przed chorobami zakaźnymi, że zje się lody z salmonellą. Z dokumentów partyjnych wynika, że wciąż dochodziło do zatrucia całych miasteczek, na masową skalę, nie mówiąc na przykład o epidemii ospy na początku lat sześćdziesiątych. Strach, czy wkroczą czy nie wkroczą, panował na początku lat osiemdziesiątych.

A.D. – Strach przed sowiecką interwencją (niezależnie od poziomu jej prawdopodobieństwa) celowo generowały władze. Był jeszcze jeden oczywisty strach – na wsi, przed kolektywizacją. W latach siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych, sam miałem okazję obserwować jego objawy na rzeszowskiej wsi. Było tak, że gdy w 1956 r. Władysław Gomułka odpuścił tę sprawę, ludzie odetchnęli, że to koniec z kolektywizacją. Na wsi – nawet w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – istniało przeświadczenie, że władze prędzej czy później do niej powrócą. Dlatego przywódcy ZSL tak się chwalili doprowadzeniem w 1983 r. do nowelizacji konstytucji PRL, w ramach której wprowadzono artykuł o trwałości indywidualnych gospodarstw rolnych. Oczywiście wielu chłopów odebrało to jako kolejne posunięcie mające ukryć nieczne zamiary komunistów.

M.Z. – Strach przed kolektywizacją oznaczał brak stabilizacji i narastanie poczucia, że na dłuższą metę nie da się żyć w tych warunkach. W informacjach partyjnych i raportach MBP można znaleźć wiele mel-

dunków o tym, że ludzie nie sieją albo nie zbierają zboża lub zamierzają opuszczać swoje gospodarstwa, ponieważ boją się, że ich ziemię przejmie powstająca w okolicy spółdzielnia.

Wróć jeszcze do strachu związanego z aprowizacją. Pamiętam list przejęty w 1962 r. przez Biuro „W” – „...całe życie w tej Polsce ludowo-komunistycznej jest obrzydliwe, wieczne tylko troski i walka nieomal o zdobycie żywności. Przez dwa miesiące nie mieliśmy zupełnie żadnego mięsa ani ziemniaków, obecnie znowu nie ma mięsa. Tłumy ludzi wędrują od sklepu do sklepu za masłem...”

Fenomen pierwszej połowy lat siedemdziesiątych polegał na tym, że nagle ten problem zmaleł. Oczywiście na prowincji, w niektórych miastach i miasteczkach ciągle były niedobory. Produkty przemysłowe i spożywcze zawsze posyłano do dużych skupisk klasy robotniczej. Jednak po 1971 r. nastąpiła wyraźna, przez wszystkich odczuwana poprawa zaopatrzenia. Ma to odzwierciedlenie w badaniach optymizmu społecznego, które przeprowadzał wówczas OBOP. Optymizm wyraźnie wzrastał, spadek nastąpił po 1976 r. Są też badania dotyczące tego, co ludzie mogą kupić w najbliższym sklepie. Z tych badań (1977 r.) wynika, że na przykład 85 proc. mogło dostać chleb, 55 proc. – olej roślinny, 45 proc. – masło, 38 proc. – jaja, mniej niż 1 proc. – mięso wołowe bez kości i szynkę. Są również badania dotyczące czasu, jaki ludzie spędzali w kolejkach. „Czasochłonność dziennego zakupu artykułów częstego użytku przez rodzinę” wynosiła w 1966 r. 63 min, 1970 r. – 94 min, 1971 r. – 73 min, a w 1976 r. – już 98 min. Ciekawe, że dziś funkcjonuje opinia, iż wówczas ludzie – mimo tych kolejek – mieli więcej czasu. Dwie godziny w kolejkach, i do tego bardzo dużo czynności, które w społeczeństwach kapitalistycznych wykonują różnego rodzaju punkty usługowe. A przecież wtedy gotowało się obiady w domu, przygotowywało się kompoty, prało pieluchy. Sądzę, że mniej czasu spędzało się w pracy. Za to wiele czasu ludzie poświęcali wszelkiego rodzaju pracom domowym, sprzątnaniu, gotowaniu, reperacjom.

B.P. – Dość ciekawym zjawiskiem był zbiorowy wypoczynek – instytucja wczasów pracowniczych. Ludzie ze sobą pracowali, a potem wyjeżdżali do zakładowego ośrodka wczasowego. Wykształciły się w ten sposób pewne rytuały. Z jednej strony w latach sześćdziesiątych wszystko to, co prawdziwe i ważne, odbywało się w granicach domu, ale też i bardzo łatwo ci sami ludzie poddawali się stadnym zachowaniom, „kompanijności” środowiska zawodowego. W zakładach pracy organizowano wycieczki albo wyjazdy na wczasy czy gryzby, gdzie zabawa polegała na tym, żeby być ze sobą jak najściślej, nie było mowy o żadnej prywatności. Razem było się w stołówce, na plaży, przy ognisku itd. To co prywatne, jak odpoczynek właśnie, bardzo łatwo zostało oddane.

M.Z. – Nie zgadzam, że to było oddawane, to było raczej przejmowane. Ludzie się organizowali, żeby wspólnie z rodzinami wyjechać na jakies



wczasy, razem pili wódkę, nie obchodzili świąt państwowych, rozmiękczyli w ten sposób system.

B.P. – Ale jeśli 22 lipca na turnusie wczasowym zorganizowano ognisko z kielbaskami, to natychmiast tam biegli.

A.D. – Podobnie uczestniczyli w święcie „Trybuny Ludu”.

Z.Z. – Warto zwrócić uwagę, że mamy do czynienia z młodym społeczeństwem – zarówno wiekowo, jak i pod względem zachowań społecznych. Dla tych ludzi była to często jedna z nielicznych znanych form wypoczynku, byli to niejednokrotnie ludzie z awansu społecznego, który przybyli do miasta ze wsi, więc korzystali z propozycji, jakie im składano.

A.D. – Mieli także ograniczone możliwości. To społeczeństwo było egalitarne, jeśli je zestawimy z dzisiejszym, w którym występują ogromne różnice majątkowe. Wówczas tylko relatywnie wąska grupa jeździła do Bułgarii czy na Krym. Było to więc egalitarne społeczeństwo ludzi o dość zbliżonych możliwościach ekonomicznych, w dodatku poddane zmasowanej indoktrynacji przez medium, które się wtedy upowszechniło. Była nim oczywiście podlegająca niewiarygodnie skrupulatnej kontroli telewizja, lansująca określone wzorce życia. Dwa najpopularniejsze serie obyczajowe lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – *Wojna domowa* i *Czterdziestolatek* – pokazywały przeciętną polską rodzinę z określonymi wzorcami zachowań, problemami i życiem codziennym. Wielu ludzi próbowało naśladować ten model. Zjawisko naśladownictwa było powszechne. Oczywiście jest i dzisiaj, tylko wzorców wyjściowych jest znacznie więcej. Wówczas następowała pewna uniformizacja życia. Ludzie zaczęli zachowywać się jak bohaterowie tych seriali. Nie wiemy, w jakim stopniu władze zdawały sobie sprawę z tego, jak daleko idące mogą być tego konsekwencje. Niektóre sprawy o wiele łatwiej załatwić jednym serialem, czy nawet jedną sceną w filmie, niż pracą dwóch tysięcy pracowników operacyjnych SB. Pewne rzeczy łatwiej sprzedawało się społeczeństwu za pomocą telewizji niż za sprawą agitatorów.

M.Z. – Te zjawiska są trudne do badania. Bez wątplenia łuki w budowanych domkach jednorodzinnych, boazeria i wystrój łazienki były wzorami z *Czterdziestolatka*. Pojawił się renesans mieszczańskiego stylu życia, o którym już mówiłem. Wraz z wyjazdami na Zachód czy do fabryk w Iraku i Libii przywożono stamtąd na przykład wzorce spędzania wolnego czasu, nowe mody. W latach siedemdziesiątych nastąpiło pewne odejście od uniformizacji.

A.D. – I tak, i nie. Nie ma tu sprzeczności. To, co powiedziałaś, dotyczy kilku największych miast w Polsce. Ci, którzy podpisywali kontrakty i wyjeżdżali za granicę, rekrutowali się z największych dziesięciu miast Polski. To oni przywozili pieniądze na samochody.

M.Z. – To była rewolucja. W 1969 r. w Polsce było 2 mln wszelkich pojazdów dwuśladowych, autobusów, samochodów prywatnych i ciężarówek. Byliśmy na ostatnim miejscu, po Rumunii, wśród krajów socjalistycznych, jeśli chodzi o liczbę samochodów prywatnych na tysiąc mieszkańców. Wraz z pojawieniem się prywatnych samochodów (a przecież nie wszyscy je mieli) zaczęto inaczej wypoczywać, inaczej spędzać czas. Moim zdaniem lata siedemdziesiąte były jedynym okresem w Polsce Ludowej, kiedy poprawa materialnych warunków życia powodowała odejście od uniformizacji i postępujące zróżnicowanie.

B.P. – Wraz z pojawieniem się „maluchów” nastąpił czas instytucji podmiejskich działek, które wtedy nie były tak drogie jak obecnie.

M.Z. – To zjawisko już wcześniej pojawiło się na Węgrzech i w Czechosłowacji. Było związane z paternalizmem. Znam wypowiedź Jánoša Kadara z 1975 r., który mówi: „po 1956 r. musieliśmy dać ludziom te samochody, domki”. Do tego samego przekonania doszli i u nas partyjni przywódcy. Ale trzeba podkreślić przy tym zróżnicowanie, przede wszystkim właśnie przez fakt posiadania samochodu, dostępu niektórych ludzi i grup zawodowych do możliwości wyjazdów zagranicznych.

A.D. – Jednak obok zróżnicowania, którego nie kwestionuję, równocześnie w niektórych innych obszarach następowała uniformizacja w świadomości społecznej, która została rozpoczęta już w latach pięćdziesiątych. W dużym stopniu wynikała ze skrajnie scentralizowanego modelu gospodarki. W latach siedemdziesiątych zakupiono licencje na produkcję pepsi-coli i coca-coli. Jednak centralni planiści podzielili kraj i w rezultacie w jednych regionach można było kupić wyłącznie pepsi (na przykład w Małopolsce), w innych zaś wyłącznie coca-colę. Gdy prezes Radiokomitetu Maciej Szczepański sprowadził do telewizji ABBĘ, cała Polska żyła jej występami. Powód był prosty: przyjazdy zachodnich zespołów do Polski ściśle limitowano.

M.Z. – Traktujesz to zbyt magicznie, uważając, że Maciej Szczepański sprowadzając ABBĘ, zamyslał, że wszyscy Polacy będą się ubierali w białe kimona. Władza miała takie skłonności, żeby wszystko narzucać, ale naprawdę nie nad wszystkim panowała.

A.D. – Nie twierdzę, że wszystko było reżyserowane, bo byłoby to absurdalne. Jednak przy pewnej jednolitości źródła indoktrynacji – siłą rzeczy tym źródłem była partia, a dokładnie aparat KC PZPR – pewne rzeczy były ludziom wtłaczane w sposób przemyślany i konsekwentny. Dlatego różnicowaniu społeczeństwa w jednych sferach towarzyszy równoległa uniformizacja w innych.

B.P. – Powiem jeszcze więcej, gdybyśmy zlikwidowali współcześnie istniejące media i zostawili dwa programy TV i cztery programy radio-

we, to też mielibyśmy inny obraz dzisiejszego społeczeństwa. Co tu dużo mówić, do końca Peerelu funkcjonował monopol państwa na wiele rzeczy. Trzeba sobie przypomnieć, jak wyglądały ówczesne ulice, co zaczęło się trochę zmieniać dopiero w latach osiemdziesiątych. Wszyscy byli prawie identycznie ubrani, a na wsi wyglądało to rozpaczliwie, bo tam było mniej pieniędzy, a do sklepu daleko.

Barbara Hoff sprzedawała swoje kolekcje w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, po które ustawiały się straszliwe kolejki, a potem na ulicach wielkich miast pojawiały się tysiące tak samo „awangardowo” ubranych młodych ludzi, bo na tym polegały tak zwane długie serie. To też był pewien rodzaj uniformizacji.

M.Z. – Były miejsca, gdzie udawało się kupić tak zwane ciuchy. Ludzie, którzy mieli dostęp do paczek, starali się ubierać w jakiś inny, oryginalny sposób. To zresztą widać na przykład w listach do „Przyjaciółki”. Dziewczyny szukają sposobów na to, żeby coś przerobić, uszyć jakiś ciekawszy strój.

B.P. – Powiedzmy jeszcze kilka słów o władzy, która żyła zupełnie inaczej niż społeczeństwo. W zamkniętym, izolowanym świecie, ze swoją specyficzną codziennością: dostawami do domu, studiami w Moskwie, wakacjami na Krymie itd.

M.Z. – Na władzy ciążył eskapizm. Co jakiś czas usiłowała wyjść z tego stanu albo częściej ją z niego wyrywano. Mieczysław Rakowski, ówczesny redaktor naczelny „Polityki”, nawoływał, że trzeba robić badania socjologiczne, żeby wiedzieć, co społeczeństwo myśli i jakie właściwie jest. Te badania zaczęto prowadzić intensywnie około 1976 r., kiedy już było naprawdę niebezpiecznie.

Wydaje się, że cechą codzienności peerelowskiej władzy, przynajmniej jeśli mówimy o elitach, było duże zapracowanie. Miała ona dostęp do różnych dóbr, jak: stołówka, specjalne sklepy, lekarz, krawiec. Korzystali z tych przywilejów członkowie Sekretariatu i kierownicy wydziałów (czyli mówiąc dzisiejszymi kategoriami, wyżsi urzędnicy), ale przez długi czas ścisły aparat partyjny był wyjątkowo zapracowany. W KC PZPR czy komitetach wojewódzkich partii siedziano również po nocach. Jakieś różnicowanie i nowe wątki pojawiły się pod koniec lat sześćdziesiątych, a zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, kiedy polowanie przestawało być rozrywką elit (poza Piotrem Jaroszewiczem), ale pojawiły się inne. Te elementy stylu życia mniej już związane były z naganem i rewolucją, bardziej z życiem biurokracji, w jakiejś mierze elit politycznych Zachodu. W latach sześćdziesiątych w mieszkaniu bodajże Ryszarda Frelka znajdowała się sauna – tam spotykali się ludzie z kręgu Frelka i Rakowskiego – rozrywka w Polsce wyjątkowa. Trudno jednak powiedzieć, żeby życie codzienne elit politycznych było takie bizantyjskie, jakościowo inne, na przykład przypominające to, co wiemy o rodzinie Nicolae Ceaușescu





Pochód pierwszomajowy, Warszawa, MDM, lata pięćdziesiąte
(ze zbiorów M. Kruhlika)



Przed pochodem, Warszawa,
lata siedemdziesiąte (ze zbiorów A.B.)



Żołnierz Ludowego Wojska
Polskiego, lata sześćdziesiąte
(ze zbiorów M. Kruhlika)



Festyn, lata pięćdziesiąte (ze zbiorów M. Kruhlika)

w Rumunii. Oczywiście żyło im się znacznie lepiej, ale ludzie ze średniego i niższego aparatu partyjnego mocno narzekali.

Z.Z. – Zjawisko rozwarstwienia społecznego występowało też w latach siedemdziesiątych. W 1979 r. robotnik przemysłowy zarabiał przeciętnie ponad pięć tysięcy złotych, natomiast I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR niecałe siedemnaście tysięcy złotych. Oczywiście porównanie to nie oddaje skali różnic w poziomie życia. I sekretarz KW PZPR oprócz wyższych zarobków miał przede wszystkim dużo większe tak zwane możliwości: „dojścia”, „układy”, znajomości, przywileje, z których korzystanie było jak gdyby wpisane w status przedstawicieli peerelowskiej elity. Warto też zwrócić uwagę, że i znaczna część społeczeństwa, chcąc nie chcąc, dostosowywała się do reguł gry, ustanawianych przez establishment. Wobec permanentnych trudności w zaopatrzeniu sklepów, obywatele radzili sobie, tworząc układy towarzysko-korupcyjne, mając na celu ułatwienie dostępu do deficytowych towarów. Mechanizm ten szybko został wpisany w system codziennego funkcjonowania zwykłych obywateli.

Z.Z. – Benificjentów PRL było chyba więcej, niżby się mogło wydawać. Aby dostatnio żyć, nie trzeba było koniecznie zostać funkcjonariuszem partyjnym. Niekiedy wystarczyło być ekspedientką w sklepie mięsny lub pracownikiem stacji benzynowej. Stosowanie politycznego kryterium podziału na uciskane społeczeństwo i totalitarną władzę nie wydaje się w tym wypadku przydatne.

B.P. – **Nie trzeba było być w nomenklaturze, żeby nie tylko dobrze żyć, ale także mieć sztucznie podniesiony status społeczny. Takie ułatwienie było w zasięgu ludzi, którzy mogli cokolwiek załatwić, poczqwszy od kierownika sklepu chemicznego, który „załatwił” farby olejne do malowania, każdy mógł być kimś, jeśli był sprzedawcą, niezależnie od poglądów.**

A.D. – Wróć do życia ludzi z nomenklatury. Historie z korupcją i różnymi układami mieliśmy przez cały okres PRL, przy czym w epoce stalinowskiej wszechobecny strach paraliżował nieco działania ludzi skłonnych do nadużyć. Później już stałe miały miejsce praktyki dodatkowego organizowania sobie środków na życie. Tyle tylko, że do końca epoki gomułkowskiej ludzie z aparatu władzy mieli oficjalnie żyć skromnie. Dobrze ilustrują to dwa przykłady. Znamienna jest sprawa Stanisława Wawrzeckiego, głównego bohatera afery mięsnej, skazanego na karę śmierci. Wawrzecki nadwyżki finansowe zamieniał na złoto i zakopywał w ogródku. Nie mógł ich otwarcie wydawać, ponieważ nadmierna konsumpcja zrodziłaby podejrzenia i mogłaby go zdekonspirować. Prawdopodobnie w latach siedemdziesiątych Wawrzecki nie musiałby już tak się kamuflować. Drugi przykład to film „Nóż w wodzie” Romana Polańskiego, który



Gomułka potępiał na plenum KC PZPR jako przejaw lansowania obcego nam stylu życia. Chodziło o bohatera granego przez Leona Niemczyka, który miał jacht i samochód, czyli coś, czego nie powinien posiadać przeciętny obywatel socjalistycznego społeczeństwa. W latach siedemdziesiątych nikt by już tego filmu nie potępiał, bo zmienił się dopuszczalny margines swobody konsumpcyjnej, choć oczywiście dalej mówiono o przypadkach nieuzasadnionego bogacenia się. Gen. Wojciech Jaruzelski w latach osiemdziesiątych próbował – nawiązując do siermiężnego przestania Gomułka – ponownie z tym walczyć. Zachowały się dokumenty z jego adnotacjami na aktach dotyczących różnych afer, na przykład dotyczących podziału działek budowlanych czy różnych malwersacji z udziałem firm polonijnych. Było już jednak za późno – pole swobody bogacenia się elit władzy znacznie się powiększyło. Jego spektakularnym finałem był proces tak zwanego uwłaszczenia nomenklatury w latach 1988–1989. Oczywiście w porównaniu z dzisiejszymi możliwościami bogacenia się w sposób niezgodny z prawem te zjawiska wyglądają bardzo niewinnie. Różnice statusu majątkowego przeciętnego robotnika i przeciętnego sekretarza nie były aż tak wielkie jak dziś stan posiadania właściciela dużej firmy i zatrudnionego w niej gońca.

Z.Z. – Chciałem jedynie zwrócić uwagę, że korumpowanie elity władzy na wielką skalę datuje się przynajmniej od lat siedemdziesiątych.

M.Z. – W 1966 r. Sekretariat KC wystosował list do wszystkich komitetów wojewódzkich i komitetów powiatowych, wskazując wyraźnie na złe tendencje w aparacie partyjnym, polegające na korupcji, co oznacza, że zjawisko jest jeszcze starsze.

Z.Z. – Oczywiście, że zjawiska korupcji nie wymyślono w latach siedemdziesiątych. Sądzę jednak, że właśnie „za Gierka” możliwość korzystania przez przedstawicieli elit z dóbr niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika zaczęła odgrywać szczególną rolę swoistej płaszczyzny porozumienia establishmentu. Zaryzykowałbym nawet tezę, że przynajmniej częściowo zajęła ona miejsce czynnika ideologicznego, który po wypadkach marcowych i grudniowych w Polsce oraz stłumieniu Praskiej Wiosny stracił na znaczeniu. Choć przedstawiciele elity rządzącej w latach siedemdziesiątych sporo mówili o socjalizmie, sami uważali się przede wszystkim za „socjalistycznych menedżerów”, którym za ich fachową wiedzę i talenty organizacyjne należy się przede wszystkim godziwe wynagrodzenie. To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że od lat siedemdziesiątych instytucjonalne korumpowanie przedstawicieli władz dostępem do dóbr stało się uznaną formą wiązania ze sobą członków establishmentu politycznego.

M.Z. – Nie tylko establishmentu. W dokumencie przygotowanym przez Wydział Propagandy KC z początku lat siedemdziesiątych znajduje się



stwierdzenie, że „Na bodźce materialne wrażliwa jest nie tylko klasa robotnicza. Jeszcze wrażliwsze bywają te kręgi, których potrzeby i standardy życiowe sięgają znacznie wyżej”. W tym przypadku chodziło o środowiska twórcze, ale z wszechobecnym państwem wiązała ludzi cały system przywilejów, z którego korzystali nie tylko intelektualści i artyści.

A.D. – Jedną z afer z lat sześćdziesiątych polegała na tym, że skorumpowano ministra żeglugi lodówką. Taka sytuacja w późniejszym PRL była mało prawdopodobna. Kto bowiem w KC PZPR czy rządzie przyjąłby coś tak żałosnego jak lodówka?

B.P. – Na prawach dyskutanta podzielę się z panami własnym odkryciem, że społeczeństwo, które w czasie pokoju żyje w niedostatku i nie jest społeczeństwem konsumpcyjnym, wytwarza coś, co nazwałabym na użytek tej rozmowy kulturą biedy. Niedostatek był nie tylko na poziomie pralek czy sprzętu domowego, on był na każdym poziomie, wobec tego funkcjonowały rzemieślnicze i państwowe zakłady reperacji wszystkiego, począwszy od butów i repasacji pończoch, a skończywszy na reperacji mebli czy sprzętów gospodarstwa domowego. To na poziomie organizacji społeczeństwa, ale przecież w domach reperowało się różne rzeczy, nicowało się palta, przyszywało kołnierzyki od koszuli, we własnym zakresie reperowano meble czy pościel. To wszystko składa się na pewną kulturę materialną, rzutującą na jakość życia dnia codziennego, stanowiącą element życia rodzinnego – kobiety cerowały mężom i dzieciom skarpety, swetry itd. To też było pewnym elementem życia społecznego, takiego ubóstwa ludzie się nie wstydzieli, nie było nic wstydliwego w tym, że dzieci do szkoły przynosiły drugie śniadanie w torebce na przykład po cukrze, bo z papierem były kłopoty. To jeszcze jeden przyczynek do opisu tego społeczeństwa.

B.P. – Chcę jeszcze prosić o opis tak zwanego marginesu społecznego. Z jednej strony w całym okresie PRL da się odnaleźć ten górny poza władzą margines, dostatni i żyjący cnotliwie, ale interesujące jest tak zwane dno społeczne. Teraz składa się na nie grupa ludzi bezdomnych, alkoholików itd. Jak wyglądał ten problem wcześniej?

M.Z. – Analizowałem go trochę pod kątem prostytucji. Dostęp do źródeł na ten temat jest bardzo ograniczony i nie chodzi tu o tajność dokumentów. Był to właśnie margines, władza zatem tą sprawą specjalnie się nie zajmowała. O ile do 1956 r. prostytutki można było spotkać przy wszystkich dworcach w Stalinogrodzie, czyli Katowicach, Warszawie, Krakowie, o tyle później bardzo często prostytucja kwitła przy wielkich budowach, w Nowej Hucie, przy Petrochemii w Płocku, w Turoszowie. W latach siedemdziesiątych pojawia się wyraźna zmiana. prostytutki przeniosły się do budowanych wówczas hoteli.

B.P. – I tak zwanych „dolarowców”, czyli budynków mieszkalnych, w których można było kupić mieszkanie za dolary.

M.Z. – Czytałem życiorys dolarowej prostytutki, wyliczyła w nim, z kim spotykała się w hotelu. Głównie z pracownikami misji handlowych, ambasad, obcokrajowcami. Trzeba jednak przyznać, że o marginesie tym wiemy bardzo mało.

B.P. – Przede wszystkim prawie nic nie wiadomo o bezdomnych.

M.Z. – Czekam na dostęp doteczki z dokumentami zatytułowanej *Żebraństwo i włóczęgostwo* z 1956 r. Sam jej tytuł świadczy o tym, że już wówczas były z tym problemy.

Z.Z. – Jeśli rozmawiamy o marginesie społecznym, można dorzucić jeszcze jedną kwestię. Na początku lat pięćdziesiątych pojawiło się zjawisko, które wcześniej w Polsce nie występowało. Chodzi o chuligaństwo. Młodzi ludzie, często z nowo wybudowanych osiedli robotniczych, dopuszczali się coraz liczniejszych aktów ślepej agresji, w tym także bestialskich zabójstw zupełnie przypadkowych osób. Dla wielu chuligaństwo stało się stylem życia, swoistą subkulturą. Zjawisko to zaskoczyło władze komunistyczne, które okazały się wobec niego bezradne. Przystępczość oczywiście zawsze istniała, ale zazwyczaj podlegała swoiście racjonalnym regułom. Dawniej przestępstwa popełniano najczęściej w jakiś cel, były jakieś ich motywy, teraz chuliganizm łamał zasady współżycia społecznego po prostu dla sportu.

M.Z. – Przystępczość wśród nieletnich, bo o tę przede wszystkim chodzi, miała być cechą państw kapitalistycznych. W Polsce pojawiła się wraz z rozpadem podstawowych więzi społecznych, spowodowanym systemową przebudową i niszczeniem dotychczasowych struktur społecznych.

A.D. – Doszedł jeszcze problem subkultur młodzieżowych.

Z.Z. – Warto się zastanowić, jak dalece powstawanie subkultur młodzieżowych było efektem ogólnych zjawisk cywilizacyjnych, a w jakim stopniu wynikało z przemian społecznych charakterystycznych dla społeczeństw krajów „demokracji ludowej”.

A.D. – Na pewno pojawienie się hippisów w Polsce w drugiej połowie lat sześćdziesiątych było owocem kontaktów z Zachodem.

B.P. – Panowie mówią już o subkulturze, a nie o marginesie. Społeczeństwo powojenne, po doświadczeniu stalinizmu, w jakimś sensie chroniło tych ludzi, którzy obecnie bezwzględnie znaleźli się poza nawiasem społecznym. Mówię na przykład o pijanych, których kole-



dzy czy żona zatrzymywali w domu, ponieważ z ulicy zostaliby natchmiast zabrani przez milicję, bo przynajmniej w tym zakresie dbała ona o spokój w mieście.

M.Z. – W latach sześćdziesiątych w Warszawie było kilkuset milicjantów, a teraz stróżów prawa jest kilka tysięcy.

Z.Z. – Regularne kampanie propagandowe nawołujące do zachowania trzeźwości w miejscu pracy oraz liczba wypadków, którym ulegali pijani pracownicy, a także obowiązująca w latach osiemdziesiątych słynna godzina 13.00, przed którą nie wolno było prowadzić sprzedaży alkoholu, wskazują, że w PRL popijano w pracy, i to tęgo. Generalnie mam takie wrażenie, że społeczna tolerancja dla osób pijanych była wówczas większa niż obecnie.

A.D. – W dniu popularnych imienin cała Polska była pijana.

Z.Z. – Alkoholizm był problemem społecznym przez cały okres PRL, począwszy od dobrze prosperującego bimbrownictwa lat czterdziestych. W latach pięćdziesiątych wydano bimbrownictwu walkę, ale były regiony kraju, gdzie kwitło ono długo – wystarczy przypomnieć utrzymującą się po dziś dzień sławę śliwowicy z Łącka.

A.D. – Warto podkreślić, że wykazywano przy tym wielką inwencję. Gdy w latach siedemdziesiątych rozpoczął się kryzys związany z brakiem cukru, wykryto możliwości tkwiące w landrynkach i wykupywano ich całe worki.

M.Z. – Alkohol miał bardzo duże znaczenie w życiu codziennym, nie tylko jako stymulator życia towarzyskiego, ale również jako bardzo ważny środek wymienny.

A.D. – Mówiąc o alkoholu, myślimy oczywiście o wódce, bo ją przede wszystkim spożywano w PRL.

M.Z. – Rozmawialiśmy o korupcji. Wyniki badań na ten temat prowadzonych w połowie lat siedemdziesiątych wskazują, że tylko około 50 proc. badanych stwierdziło, że się z nią styka, ale podejrzewam, że wielu przejawów korupcji nie uznawano za zachowania naganne. Dawanie lekarzowi alkoholu, czekoladek czy kawy było rzeczą tak naturalną, że nikt nie robił z tego sprawy, podobnie zapłacenie kontrolerowi biletów czy milicjantowi, żeby nie wypisywał mandatu.

B.P. – Pozostał nam jeszcze taki przejaw życia społecznego, jakim był dzień świąteczny. Czy da się opisać społeczeństwo przez świętowanie? W PRL pozostały tradycyjne wielkie święta religijne – Boże



Przed pochodem, lata siedemdziesiąte
(ze zbiorów A.B.)



Na spacerze, lata osiemdziesiąte (ze zbiorów A.B.)



Przed pochodem, lata siedemdziesiąte
(ze zbiorów A.B.)



W ZOO, Warszawa, lata pięćdziesiąte
(ze zbiorów A.B.)

Narodzenie i Wielkanoc, Wszystkich Świętych, ale doszły do tego 1 Maja, 22 Lipca, rewolucja październikowa.

M.Z. – Trochę nawiązujemy do tego, o czym powiedzieliśmy wcześniej, zwłaszcza wielkie święta kościelne były i są okazją do spotkań rodzinnych.

B.P. – **Przynajmniej jedno z nich jest manifestacją uliczną, czyli Boże Ciało.**

M.Z. – Wielkim świętom religijnym towarzyszyło straszliwe zabieganie, przez kilka dni się je przygotowywało. Po trzepaniu dywanów można było poznać, że zbliżają się święta. Obowiązkowo myło się okna.

B.P. – **Sprzątanie zajmowało znacznie więcej czasu choćby z powodu nieistnienia tego wszystkiego, co nazywamy dziś chemią gospodarczą.**

M.Z. – Z jednej strony był to czas spotkań rodzinnych, ale i okres wielkiego zmęczenia. Święta państwowe natomiast do życia codziennego specjalnie nie wkraczały. Był to kolejny dzień, kiedy można było zrobić przepierkę.

B.P. – **Później, bo pojawienie się na pochodzie pierwszomajowym należało do obowiązków pracownika. Tak było do końca lat siedemdziesiątych.**

A.D. – A potem była uroczystość plenerowa, możliwość kupienia kiełbasy czy pomarańczy.

Z.Z. – Tak było w miastach. Na wsi w tym dniu zazwyczaj pracowano tak jak w dzień powszedni. Nosiło to wręcz znamiona demonstracyjnego negowania tego święta. Przy okazji warto zasygnalizować istotną – jak sądzę – kwestię roli Kościoła w organizacji życia codziennego Polaków w PRL. W sytuacji, w której obywatele przemieszczali się ze wsi do miast lub z jednego regionu kraju do drugiego, zmieniali otoczenie sąsiedzkie i zawody, byli poddani presji ideologicznej w szkołach i zakładach pracy, Kościół pozostawał często jedyną instytucją, dzięki której utrzymywano więź z tradycją. O tym, jak znaczące było w tej dziedzinie oddziaływanie Kościoła, może świadczyć fakt, że z akt krakowskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wynika, iż nawet funkcjonariusze tej instytucji potajemnie chrzcili dzieci i tolerowali uczestniczenie członków swoich rodzin w nabożeństwach. Można więc zaryzykować twierdzenie, że o ile presja komunistycznej propagandy przyczyniła się do istotnych zmian w codziennej obyczajowości świeckiej Polaków, o tyle okazała się w znacznym stopniu nieskuteczna w odniesieniu do ich codzienności religijnej.

A.D. – W różnych okresach uroczystości kościelne były też formą manifestacji, co szczególnie wyraźnie widać w latach sześćdziesiątych podczas peregrynacji obrazu jasnogórskiego i uroczystości milenijnych. Dla społeczeństw lokalnych to było ogromne wydarzenie. Przyjeżdżał wówczas prymas czy ordynariusz, których uroczystość witano. Tak było w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, aż do 1966 r. Inaczej wyglądała sytuacja w latach osiemdziesiątych, kiedy kościoły w niektórych regionach stały się czymś więcej niż tylko miejscami kultu. Znakomitym przykładem jest Stalowa Wola, gdzie wokół parafii, wokół księdza Edwarda Frankowskiego powstało całe środowisko polityczne i kulturalne. Podobnie wyglądała sytuacja w niektórych parafiach na Podkarpaciu, gdzie na przykład zapraszano niezależnych historyków i organizowano na plebaniach wykłady. Jednak bez względu na zmiany, które w nim następowały, to właśnie Kościół katolicki i towarzyszące mu struktury były w całym okresie PRL czynnikiem bodaj najsilniej stabilizującym życie codzienne.



Zdzisław Zblewski, doktor historii, kierownik referatu badań naukowych w OBEP IPN w Krakowie i adiunkt w Instytucie Historii UJ. Członek redakcji czasopism naukowych „Pamięć i Sprawiedliwość” oraz „Zeszyty Historyczne WiN”. Zajmuje się dziejami podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej oraz życiem codziennym w PRL. Autor m.in. publikacji *Między wolną Polską a „siedemnastą republiką”. Z dziejów oporu społecznego na terenie województwa krakowskiego w latach 1945–47* (1998 r.) oraz popularnonaukowego *Słownika PRL* (2000 r.). Współpracownik Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak”.



Marcin Zaremba, doktor historii, adiunkt w Instytucie Historycznym UW oraz Instytucie Studiów Politycznych PAN. Publikował dokumenty i opracowania na temat historii PRL, m.in. w „Polityce” i „Więzi”. Współredaktor tomu *Marzec 1968. Trzydzieści lat później* (1998 r.). Autor publikacji: *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce* (2001 r.), którą w 2002 r. wyróżniono nagrodami Klio i tygodnika „Polityka”.



Antoni Dudek – historyk i politolog, absolwent UJ, doktor nauk humanistycznych. Od 1989 r. pracuje w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ. Autor i współautor kilkunastu książek z zakresu historii najnowszej Polski. Ostatnio opublikował *Pierwsze lata III Rzeczypospolitej 1989–2001* (Kraków 2002 r.). Od 2000 r. jest naczelnikiem WBNiZB BEP IPN.



CZY KTOŚ WIDZIAŁ SZYNKĘ?

W Polsce Ludowej jednym z niewielu stałych elementów rzeczywistości były „przejściowe trudności”, a wśród nich najbardziej dotkliwe nieustanne kłopoty z zaopatrzeniem w mięso. Problemu tego nie rozwiązano aż do końca istnienia PRL.

Pustki w sklepach mięsnych inspirowały tworzenie niezliczonych dowcipów. Już w połowie lat czterdziestych, w odpowiedzi na oficjalną propagandę spożycia ryb zamiast mięsa, powstało popularne hasło: „Jedzcie dorsze, g... gorsze!”. Złośliwie tłumaczono brak wieprzowiny tym, że ostatnia świnia zapisała się do partii. W innym dowcipie porównywano czasy PRL z Polską przedwojenną: „Przed wojną na szyldzie sklepu był napis »Rzeźnik«, a w środku było mięso. Po wojnie na szyldzie napisano »Mięso«, a w środku jest rzeźnik”.

Braki w zaopatrzeniu w mięso były przez całe powojenne czterdziestopięcioletnie nieustanną przyczyną frustracji społeczeństwa. W powszechnym przekonaniu były one rezultatem złej polityki wobec wsi, nadmiernego eksportu, wywozu do ZSRR, ogromnego marnotrawstwa. W połowie lat sześćdziesiątych spożycie produktów mięsnych wynosiło niewiele ponad 50 kg rocznie na osobę. Był to wynik o wiele gorszy nie tylko w porównaniu z państwami zachodnimi, ale nawet innymi krajami bloku sowieckiego. W kolejnych latach spożycie mięsa wzrastało w niewielkim stopniu, a nawet okresowo zmniejszało się.

Nie potrafiąc zaspokoić społecznych potrzeb w tym zakresie, władze propagowały różne produkty, które miały zastępować mięso (sery, ryby). Gazety pełne były przepisów na jarskie dania, w tym beźmięsne kotlety. W niektórych okresach propagowano również tak zwane dni beźmięsne (bynajmniej nie w piątek). Elementem tej kampanii bywały nawet poważne artykuły publicystyczne. W dokumencie nr 1 opisano reakcje czytelników „Polityki” na dwa felietony Jerzego Urbana, wyśmiewające postulaty wprowadzenia kartek na mięso. Drugi z publikowanych dokumentów, obok analizy opinii autorów listów do mediów, zawiera niezmiernie interesujące wyniki badań OBOP¹, dotyczące stanu zaopatrzenia w mięso i jego przetwory. Pochodzą one z początków 1977 r. W następnych latach sytuacja znacznie się pogorszyła.

Kolejna podwyżka cen części produktów mięsnych zakończyła się wybuchem masowych protestów w lipcu i sierpniu 1980 r. Pod wpływem żądań społeczeństwa przywrócono zaniechaną w latach pięćdziesiątych reglamentację mięsa i jego przetworów. Nie rozwiązało to jednak problemu. Aż do 1989 r. najpewniejszym sposobem zdobycia wędliny na święta było odwiedzenie rodziny na wsi lub skorzystanie z usług jednej z wielu osób trudniących się nielegalnym obrotem produktami mięsnymi. Karierę tych ostatnich, trwającą nieprzerwanie od czasów okupacji niemieckiej, brutalnie przerwało wprowadzenie wolnego rynku. Jego „niewidzialna ręka” w kilka tygodni rozwiązała problem, z którym przez dziesięciolecia nie mogły dać sobie rady największe tuzy socjalistycznej ekonomii.

Biuletyn Listów nr 33 poprzedzony jest wstępem Redakcji „Polityki”. Niektóre wnioski sformułowane we wstępie są wątpliwe w tym sensie, że nie znajdują pokrycia bądź też nie są zgodne z treścią listów zamieszczonych w Biuletynie. Tak np. w pkt 3 mówi się o zarysowujących się zawiściach społeczności mniejszych miast wobec metropolii. Natchnieniem dla tego wniosku mogły być sformułowania o uprzywilejowaniu „naszej ukochanej Warszawki”, która „kwitnie kosztem reszty Polski”, „o sytych warszawiakach” itp. Sformułowania

te zawierają dużo jadu i nienawiści i szczególnie rzucają się w oczy. Jednakże sformułowania takie występują tylko w jednym liście, i to w liście zdecydowanie wrogim, kołtuńskim, odbiegającym swym charakterem od innych listów. Ponadto zaś nie jest to list z małego miasta, lecz – jak wynika z treści – pisany przez mieszkańca Łodzi. W ogóle **znaczna większość** listów pochodzi z terenów wysoko zurbanizowanych, wielkomiejskich (Warszawa, miasta okręgu katowickiego, miasta Wybrzeża, Poznań, Kraków, Łódź).

Wniosek 4 stwierdzający, że „zaopatrzenie w żywność jest pryzmatem, przez który ta rozżalona część społeczeństwa patrzy na niemal wszystko, co w kraju się dzieje”, nie znajduje potwierdzenia w uważnej lekturze listów. Listy zamieszczone w Biuletynie nr 33 są stosunkowo monotematyczne i jeśli wykraczają poza problem zaopatrzenia (propaganda, stosunek do władzy), to ujmują te inne sprawy w kontekście przyczyn i skutków złej sytuacji rynkowej oraz sposobu naświetlania tego problemu.

Wniosek 5: nie wdając się w merytoryczną ocenę zasadności przypuszczenia, że „sprawa cen mogłaby stać się nie pierwszorzędną, gdyby ekwiwalentem podwyżki było bardzo wyraźnie lepsze zaopatrzenie”, należy stwierdzić, że uzasadnieniem tego stwierdzenia nie mogą być omawiane listy. Problem cen występuje w 8 listach, i to w sposób wyraźnie kontrowersyjny. W 4 listach proponuje się podwyżkę cen mięsa jako środek na poprawę sytuacji rynkowej. Jeśliby nawet taki wniosek wynikał z listów, to i tak nie powinien być on sformułowany w tak ogólnej postaci, gdyż jak stwierdza sama redakcja, listy nie są reprezentatywne dla nastrojów społecznych, a ściślej mówiąc, nie wiadomo, w jakim stopniu i w jakim zakresie poglądy wyrażane w listach odzwierciedlają poglądy całego społeczeństwa.

Dokument nr 1

Analiza Biuletynu Listów nr 33

Zawartość 43 listów, polemizujących z artykułami J[erzego] Urbana w „Polityce” [pod tytułem] *Miraż bonów* (4.10.76) i *Mity i kilogramy* (25.09.76)

Postawy polityczne autorów listów

Przytłaczająca większość listów (w tym także niektóre anonimy) nie jest pisana z pozycji wrogich, chociaż zawierają one mniej lub bardziej ostrą krytykę obecnego stanu zaopatrzenia i dają wyraz rozgoryczeniu i zniecierpliwieniu z tego powodu. Tylko 4 listy zawierają sformułowania wrogie, skierowane przeciwko ustrojowi, kierowniczej roli partii, Związkowi Radzieckiemu.

Tytułowy problem artykułu (bony) w listach

Tytułowy problem artykułu nie jest głównym problemem listów, nie znalazł oddźwięku w większości listów. Zagadnienie bonów na mięso poruszone jest w 13 listach (w tym 11 wypowiada się za wprowadzeniem bonów, a 2 przeciwko), natomiast 30 listów problem ten w ogóle pomija.

Ocena stylu artykułu

Największe rozdrażnienie i irytację wzbudziły pewne sarkastyczne sformułowania autora artykułu („horyzonty szersze niż brzegi garnka”, „taniec wokół kotleta”, „obsesja mięsna”, „wolałbym być jaroszem niż głupcem”), które zostały odczytane przez 2/3 autorów listów jako lekceważący, a nawet pogardliwy stosunek do problemów życiowych, codziennych trudności i podstawowych potrzeb ludzi pracy. Reakcją na tak odczytane podejście do sprawy są trzy typy zarzutów kierowanych pod adresem Urbana:

1) Urban pisze zza biurka i nie zna życia;

- 2) Urban znajduje się w sytuacji uprzywilejowanej i nie odczuwa problemów i trudności ludzi, ponieważ sam ich nie ma;
- 3) Urban pisze inaczej, niż myśli, bo tak musi, bo mu tak każą, bo mu za to płacą.

Niektórzy autorzy listów przeciwstawiają sposobowi myślenia Urbana – w charakterze przykładów pozytywnych – przemówienie I Sekretarza KC PZPR w Mielcu oraz artykuły innych dziennikarzy z „Polityki” i „Trybuny Ludu”. Dla pewnej zaś części autorów listów krytyka Urbana jest okazją do wyrażenia ogólnych sądów krytycznych o całej propagandzie.

Zaopatrzenie – główny temat listów

Tematem poruszonym we **wszystkich** listach są trudności związane z nabyciem artykułów spożywczych, a zwłaszcza mięsnych. W kilku listach pisze się także o trudnościach w nabyciu niektórych artykułów przemysłowych. **Wszyscy** autorzy listów podważają prawdziwość przytaczanych w artykule danych o większych obecnie niż w u.br. dostawach mięsa na rynek krajowy. Tylko w kilku przypadkach argumentacja opiera się na przytaczaniu różnych danych statystycznych. W większości listów głównym argumentem jest przeświadczenie oparte na własnym doświadczeniu i osobistej obserwacji, na poczuciu większych niż przed rokiem trudności w nabyciu artykułów mięsnych. W kilku listach, obok problemów dostępności mięsa, krytykowana jest także jakość tańszych wyrobów mięsnych. W kilku listach także protestuje się przeciwko stwierdzeniu, że ceny na mięso i jego wyroby są niskie.

Zjawiska towarzyszące trudnościom w zaopatrzeniu

Połowa autorów listów wskazuje na ujemne zjawiska społeczne towarzyszące brakom w zaopatrzeniu, na koszty społeczne tych braków: marnotrawstwo czasu w kolejkach, napięcia psychiczne i konflikty międzyludzkie, straty moralne, szkody dla zdrowia i wydajności pracy, nastroje niezadowolenia, spadek zaufania do władz.

Porównanie Polski do innych krajów

Około 1/4 autorów listów, oceniając krytycznie zaopatrzenie w Polsce, porównuje je do lepszej sytuacji w innych krajach. Charakterystyczne jest, że dominującym układem odniesienia dla ocen są kraje socjalistyczne. Na 10 listów, w których dokonuje się takiego porównania, w 8 przypadkach wymieniane są KDL (Węgry, NRD, CSRS, Bułgaria), a tylko w 2 przypadkach kraje kapitalistyczne.

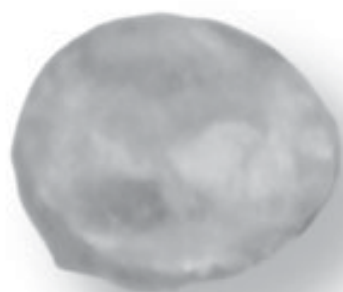
Przyczyny braków w zaopatrzeniu

Większość autorów listów wypowiada się na temat przyczyn braków w zaopatrzeniu. Wypowiedzi na ten temat można podzielić na 5 grup, których hierarchia (wg liczby wypowiedzi na dany temat) jest następująca:

- 1) zła gospodarka, nadmiar inwestycji, brak rozeznania kierownictwa w sytuacji, nieprze-myślane posunięcia władz;
- 2) niesprawiedliwy podział – uprzywilejowane pewnych grup pod względem zarobków i zaopatrzenia, specjalne sklepy, bufety i kioski, bankiety;
- 3) wady dystrybucji handlu, spekulacja;
- 4) nadmierny eksport mięsa;
- 5) niekorzystny dla rolników układ cen skupu, paszy i materiałów potrzebnych dla produkcji rolnej.

Proponowane wnioski

Poza proponowaną w listach reglamentacją mięsa i jego wyrobów (traktowaną głównie jako środek przejściowy) postuluje się: polepszenie warunków i zwiększenie bodźców



dla rozwoju rolnictwa i wzrostu produkcji mięsa (4 listy), podwyżkę cen sprzedaży mięsa (4 listy), ograniczenie akumulacji (2 listy), nauczanie gospodarowania domowego (1 list).

Uwagi o propagandzie

Ponad połowa autorów listów wypowiada się na temat propagandy, zarzucając jej zbyt dużą rozbieżność z rzeczywistością, z własnym doświadczeniem i spostrzeżeniami, tuszowanie braków i przedstawianie tylko osiągnięć, nieinformowanie lub zbyt późne informowanie o trudnościach. Kilku autorów listów postuluje zmianę stylu propagandy, widząc w tym szansę poprawy nastrojów społeczeństwa.

AAN, KC PZPR – Wydział Prasy, Radia i Telewizji, sygn. tymczasowa XXXIII–45

Dokument nr 2

Informacja na temat opinii czytelniczej i środowiska dziennikarskiego odnośnie [do] zaopatrzenia ludności w mięso i przetwory mięsne

Zagadnienie zaopatrzenia ludności w mięso i przetwory mięsne stanowi nadal – w odczuciu opinii publicznej – zasadniczy problem w sferze problematyki rynkowej.

Wg badań OBOPiSP wskaźnik dostępności na rynku poszczególnych gatunków mięsa i przetworów mięsnych przedstawia się następująco:*

Nazwa towaru	Można dostać zawsze	Niekiedy brak	Bardzo często brak	Trudno powiedzieć, rzadko kupuję
Szynka	0	1	92	7
Mięso wieprzowe	1	7	83	9
Mięso wołowe b. kości	2	11	77	10
Kiełbasa krakowska	5	14	75	6
Mięso wołowe z kością	11	21	58	10
Konserwy mięsne	16	22	55	7
Kurczęta	32	30	26	12
Kiełbasa zwyczajna	34	35	27	4
Kiszka pasztetowa	37	29	22	12

* Dane z marca 1977 r. Według opinii OBOPiSP wskaźniki te nie uległy istotnym zmianom.

Obserwuje się przy tym charakterystyczne zjawisko – **mimo że opinia publiczna nadal jest szczególnie uczulona na problem zaopatrzenia w mięso i przetwory mięsne, sam fakt braku mięsa i jego przetworów stał się, jakby w jej odczuciu, czymś naturalnym i oczywistym** – nie budzi takiego rozdrażnienia jak rok temu. Natomiast szczególnie krytycznie odnoszą się obywatele do różnorodnych zjawisk towarzyszących niedostatkom w zaopatrzeniu rynku w mięso, jak:

- niesprawnej dystrybucji, co powoduje, iż w jednych sklepach jest nie najgorsze zaopatrzenie, w innych natomiast brak w ogóle mięsa i przetworów mięsnych;
- brak przestrzegania, w ich odczuciu, podstawowych zasad sprawiedliwości w rozdziale mięsa. Krytykuje się decyzję o przyznaniu tygodniowej puli mięsnej pracownikom niektórych zakładów, jak np. Huta Warszawa, lepsze zaopatrzenie milicji i wojska. Argumentacja jest tu następująca: z racji charakteru pracy – być może niektórzy pracownicy pracują ciężiej niż inni i powinni się lepiej odżywiać, a więc zakład powinien im zapewnić lepsze

- pożywienie w stołówkach. Natomiast rodziny (szczególnie dzieci) wszystkich pracowników mają takie same potrzeby i nie należy tu czynić wyjątków;
- ostro krytykowane są zjawiska korupcji i protekcjonizmu w sprzedaży mięsa i jego przetworów (tzw. sprzedaż spod lady, dla znajomych, krewnych itp.);
 - krytykowany jest **sposób** wprowadzania w życie cen komercyjnych na wyższe gatunki wędlin. Część odbiorców uważa, że należało o tej decyzji szeroko poinformować opinię publiczną, poprzedzić ją dyskusją w środkach masowego przekazu;
 - wyrażana jest opinia, że niska jakość przetworów mięsnych jest jedną z przyczyn pogłębiania trudności rynkowych w zakresie tego towaru. Wskazuje się tu na przypadki, że zła jakość kiełbas, kaszanek powoduje ewidentne marnotrawstwo, gdyż część tych towarów, jako nienadających się do spożycia, trzeba wyrzucać.

W listach telewizjów i radiosłuchaczy formułowana jest teza, że skoro mamy określone trudności w produkcji mięsa w skali całego kraju, ich uciążliwość powinna być równomiernie, sprawiedliwie rozłożona. Wprowadzenie cen komercyjnych preferuje natomiast bogatych.

Powszechna jest też opinia, że zasadniczą przyczyną braków w zaopatrzeniu tkwi w bardzo rozbudowanym eksporcie.

Równocześnie sygnalizowano, że i tak mięso jest relatywnie tanie, gdyż aktualne ceny warzyw i owoców wzrosły od ubiegłego roku o około 100 proc. i nie mogą skutecznie stanowić substytutu mięsa (np. bób 70 zł za kg, ziemniaki 12 zł za kg). Również i inne towary, np. sery, ryby, ze względu na cenę lub dostępność na rynku nie mogą zastąpić mięsa w codziennym wyżywieniu ludności.

24 III 1978

Wydział

Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR

AAN, KC PZPR – Wydział Prasy, Radia i Telewizji, sygn. tymczasowa XXXIII–56

¹ Wówczas OBOPiSP (Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych).



RUCH ŁĄCZNOŚCI FABRYK Z WSIĄ 1948–1956

Więź mająca się tworzyć między robotnikami a chłopami podczas walki o „lepszé jutro” była stałym elementem komunistycznej propagandy, której najczęściej wykorzystywane hasło brzmiało: „Sojusz robotniczo-chłopski fundamentem władzy ludowej”.

W komunistycznej Polsce rolę najbardziej świadomej klasy społecznej, stojącej na czele przemian i będącej zarazem ich gwarantem, przypisano robotnikom. W walce o „lepszé jutro” nie pozostawali jednak osamotnieni, a to za sprawą rzekomo „wciąż rosnącej dojrzałości mas chłopskich”.

W pierwszych latach po wojnie sojusz robotniczo-chłopski rodził się w toku licznych „bitew klasowych”, spośród których do najważniejszych należały reforma rolna, akcja osadnicza, referendum i wybory do sejmu. Propagowane przez władze pogłębianie sojuszu robotników z chłopami nie miało jednakże cech systematyczności, wynikało raczej z potrzeb kolejnych kampanii agitacyjno-propagandowych. Istotna zmiana nastąpiła w 1948 r., gdy zgodnie z wytycznymi Moskwy zdecydowano o kolektywizacji polskiego rolnictwa. Przystąpiono wówczas energicznie do „umacniania spójni między miastem i wsią”. Roman Zambrowski na kongresie zjednoczeniowym PPR i PPS nawoływał: „Trzeba, aby każda fabryka, każda kopalnia, każde warsztaty kolejowe stały się centrum pomocy dla wsi i politycznego promieniowania klasy robotniczej na określoną gromadę lub grupę gromad”. Działania te stanowić miały jeden z elementów współdzielczania wsi. Tak narodziła się nowa forma sojuszu robotniczo-chłopskiego – ruch łączności fabryk (miasta) z wsią, zwany w początkowej fazie szefostwem fabryk nad wsiami.

Szefostwo fabryk nad wsiami

Ruch łączności pierwotnie przyjął formę patronatu zakładów przemysłowych nad spółdzielczymi ośrodkami maszynowymi oraz wsiami samopomocowymi¹. Brak wykwalifikowanej kadry zajmującej się obsługą sprzętu rolniczego, znajdującego się w wyposażeniu ośrodków maszynowych, zrodził bowiem zapotrzebowanie na pomoc ze strony robotników – mechaników. W zamierzeniu władz nie była to jedynie doraźna pomoc techniczna, ale również metoda politycznego oddziaływania na mieszkańców wsi, jako że remontom maszyn rolniczych towarzyszyć miały zebrania i pogadanki na temat aktualnych zagadnień, przede wszystkim kolektywizacji. Z tego względu przed partyjnym kierownictwem poszczególnych fabryk postawiono zadanie wytypowania odpowiednich grup mechaników „wytrobionych i uświadomionych politycznie i fachowo” oraz zalecono, by szefowie tych grup charakteryzowali się „mocnym kręgosłupem partyjnym”.

W pierwszych miesiącach 1949 r. znacznie rozszerzono zasięg „ruchu łączności”, obejmując nim nie tylko ośrodki maszynowe i wsie samopomocowe, ale również gromady wytypowane na spółdzielnie produkcyjne. Akcja patronacka – chociaż nie bez trudności – zaczy-

nała nabierać rozpędu. Formy pomocy robotników dla chłopów stopniowo wzbogacano. Organizowano przedstawienia amatorskich – często przyzakładowych – zespołów artystycznych, na wieś wyjechać miały wkrótce pierwsze ekipy lekarskie. Równocześnie zaczęły się pojawiać problemy wynikające z braku dokładnych wytycznych odnośnie do zasad funkcjonowania ruchu, wśród nich nieunormowana kwestia finansowania grup oraz brak środków lokomocji. Dyrektorzy fabryk tłumaczyli, że w ich budżetach nie przewidziano odpowiednich środków na te cele.

Problemom ruchu łączności poświęcono odprawę I sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR, która odbyła się 2 marca 1949 r. w Warszawie. Przewodniczący jej Roman Zambrowski stwierdził: „My nie mamy [...] jeszcze dostatecznie szczegółowego, dostatecznie wszechstronnego obrazu tego, co się w tej dziedzinie dzieje w kraju”. Nie potrafił również podać dokładnej liczby fabryk zaangażowanych w akcję pomocy, szacując ją na około 250. Przyznał, że w ruchu było dotychczas „bardzo dużo żywiołowości”. Negatywnie ocenił pracę większości ekip robotniczych, które skupiały się jedynie na pomocy technicznej. Dowodził, że „nie wolno w tej akcji tracić celu politycznego” – jakiegokolwiek naprawy wykonywaliby robotnicy, „czy remontowali w ośrodku [maszynowym], czy lutowali garnki, czy robili występ artystyczny [...] za wszystkim musi iść pewna praca polityczna i organizacyjna związana z zagadnieniami wiejskimi”.

Ruch łączności fabryk z wsią

Delegatów poszczególnych województw poinformowano o licznych zmianach w dotychczasowym sposobie działania brygad robotniczych. Przede wszystkim nazwę „szefostwo” zmieniono na „ruch łączności fabryk z wsią”. „Trzeba nam sobie zdać sprawę z tego – uzasadniał Zambrowski – że [...] w naszej wsi jeszcze są duże pozostałości nieufności [...], nieprzyznawania przodującej roli klasie robotniczej, jest jeszcze ciężenie tego witosowskiego »chłop potęgą jest i basta«”. Zatem „postawienie sprawy szefostwa może utrudnić klasie robotniczej, utrudnić fabrykom dotarcie do szerokich mas chłopskich”.

Kolejną zmianą było zmniejszenie liczebności grup, dotychczas sięgającej nawet 20–30 osób. Odtąd miały się one składać najwyżej z dziesięciu osób, w tym kierownika grupy, trzech fachowców, kilku agitatorów oraz przedstawicieli młodzieży i kobiet. Nowością było wprowadzenie „zasady wymienialności”, czyli zapraszania chłopów do miast i zapoznawania ich z życiem robotników, co miało służyć zacieśnianiu więzi między dwiema „sojuszniczymi klasami”. Grupy z największych fabryk postanowiono kierować do wsi typowanych na spółdzielnie produkcyjne. Ograniczono zasięg terytorialny działania brygad robotniczych, które dotychczas wyjeżdżały do wsi położonych w odległości przekraczającej niekiedy 150 km. Zalecano skupienie uwagi na rodzimym powiecie, a w przypadku dużych zakładów – województwie. Wyjątkami miały być Białostoczczyzna, Lubelszczyzna i Rzeszowszczyzna, dokąd – ze względu na zbyt małą liczbę fabryk – zamierzano kierować ekipy z największych zakładów w kraju. W celu usprawnienia działalności ekip zezwolono na włączenie do nich pracowników biur i urzędów, którzy skupić się mieli na agitacji wśród chłopów.

Odprawa stała się impulsem do gwałtownego wzrostu aktywności władz poszczególnych województw i tworzenia nowych brygad ruchu łączności. W maju 1949 r. było ich już około 700, a w listopadzie tego roku – przeszło 2 tys. Bezpośrednio miano zaangażować w działalność ekip 100 tys. osób, w tym blisko 30 tys. robotników. Efektywność pracy brygad była nieadekwatna do stosunkowo dużej ich liczby. Ekipy łączności tworzone doraźnie. Większość członków brygad robotniczych była zupełnie nieprzygotowana do wypełniania powierzanych im zadań. Nierzadko

nie stykali się oni w ogóle z ludnością wsi, nie prowadziło to zatem do pożądanych – z punktu widzenia PZPR – stałych i szerszych kontaktów robotników z chłopami.

Mimo wielu zastrzeżeń władze centralne uznały, że ruch łączności spełnia swoje zadania. W związku z rozwojem spółdzielczości produkcyjnej oraz „coraz ostrzejszą walką klasową na wsi” postawiono przed ekipami robotniczymi nowe zadania. Ruch łączności, który dotychczas obejmował niemal wyłącznie wsie z gospodarstwami indywidualnymi, „powinien – czytamy w uchwale Biura Organizacyjnego Komitetu Centralnego PZPR z maja 1951 r. – być wzmacniany i rozwijany jako systematyczna, polityczna, kulturalna, techniczna i organizacyjna pomoc klasy robotniczej dla wsi”, obejmując również istniejące spółdzielnie produkcyjne, Państwowe Gospodarstwa Rolne oraz Państwowe Ośrodki Maszynowe.

Za rozszerzeniem zakresu zadań ruchu miały przemawiać jego masowość oraz przytaczane w uchwale osiągnięcia. Twierdzono, że w kraju działa 3 tys. ekip robotniczych, które „okazały wsi poważną pomoc materialną i techniczną w remoncie maszyn i narzędzi, w urządzaniu świetlic i szkół wiejskich, organizowały masowe akcje polityczne na wsi, najczęściej z okazji rocznic i świąt, uroczyste obchody i zebrania, pomagały w pracy partyjnej, rozwijały kulturalno-oświatową działalność na wsi”. Jako przykład podawano województwo katowickie, w którym zakłady przemysłowe wystąpiły na wieś 1343 zespoły artystyczne i świetlicowe, a ponad 2 tys. ich występów obejrzało jakoby około 400 tys. widzów.

W kolejnych latach starano się jeszcze bardziej rozszerzyć ruch łączności, stawiając to zadanie także przed wyższymi uczelniami (między innymi zamierzano „prowadzić pracę uświadamiającą wśród studentów pochodzących ze wsi, celem zwiększenia ich oddziaływania na własne rodziny w kierunku realizacji zadań stawianych przed wsią przez partię i rząd”) oraz wojskiem (tu podstawowym celem było „zbliżenie żołnierzy i oficerów Wojska Polskiego do życia klasy robotniczej oraz [w]spólnie z robotnikami udzielanie pomocy politycznej, organizacyjnej, technicznej i kulturalnej wsi”). W 1953 r. planowano, że w najbliższym czasie ruch łączności obejmie wszystkie POM, a liczba ekip robotniczych sięgnie 8–10 tys. Zamierzeń tych nigdy nie zrealizowano, przede wszystkim ze względu na szybki kres tego ruchu, który nastąpił w październiku 1956 r.

Warto w tym miejscu poświęcić kilka zdań stosunkowi robotników do powierzanej im w latach 1948–1956 misji „umacniania spójni między miastem i wsią”. Członkowie ekip ruchu łączności, zwłaszcza w początkowym okresie, wyjeżdżali na wieś niechętnie, zobowiązani do tego przez zwierzchników. Nie ukrywali swojego nastawienia przed chłopami, co z niepokojem odnotowywały władze partyjne. I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Łowiczu zauważył na przykład na jednej z odpraw w województwie łódzkim, że „ekipy robotników prowadziły robotę niejednokrotnie destrukcyjną, były bowiem wypadki, że towarzysze przyjeżdżający opowiadali o zmuszaniu ich do wyjazdu na wieś”.

Na grzyby do lasu

Robotnicy bardzo szybko potrafili dostrzec pozytywne – z ich punktu widzenia – aspekty wyjazdów na wieś. Pobyt na łonie natury wykorzystywano zatem bardzo często w sposób dalece odbiegający od zakładanego przez władze. W powiecie piotrkowskim robotnicy – jak donosił tamtejszy KP PZPR – „jak przyjadą, to wszyscy idą się opalać nad wodę”, a jedna z ekip łączności „zamiast jechać na wieś i uświadamiać chłopów [...] wyjechała na grzyby do lasu”. Kontrola działalności brygad robotniczych – przeprowadzona w 1951 r. przez KC PZPR – pozwoliła „wykryć” wiele przykładów niepożądanych zachowań robotników. Ustalono na przykład, że członkowie ekipy jednego z zakładów w Katowicach „upijają się



Akcja żniwna w PGR z udziałem ORMO, 1949 r.
(z archiwum IPN w Gdańsku; Gdynia, IPN GD05/104/25)

na gromadach, wykorzystując wyjazdy do wsi w celu zaopatrzenia się w artykuły żywnościowe". W innym sprawozdaniu zauważano: „Letnią porą na drogach warszawskich można przy niedzieli spotkać wiele samochodów wyjeżdżających na wycieczkę pod wygodnym pozorem ekip łączności”. Brygada robotnicza ze stołecznych Zakładów im. Róży Luksemburg podczas jednego z wyjazdów „udała się do kościoła w godzinach przedpołudniowych, a popołudniowe godziny spędziła [...] przy wódce”.

„Do widzenia, chamy”

Częste zjawisko stanowiła nadgorliwość ekip składających się „z towarzyszy bardziej wyrobionych politycznie”, podejmujących się zadań, do których nie byli uprawnieni. Członkowie brygady z Fabryki Naczyń Emaliowanych w Katowicach podczas pobytu na wsi zwoływali zebrania organizacji partyjnych i sami im przewodniczyli, natomiast ekipa z Krakowskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego doprowadziła nawet do zmiany na stanowisku sekretarza podstawowej organizacji partyjnej w gromadzie Miła Zgoda. W jednej ze spółdzielni produkcyjnych w województwie łódzkim doszło do zmiany przewodniczącego oraz zarządu za sprawą robotników z Pabianickich Zakładów Środków Opatrunkowych, którzy wzięli udział w głosowaniu. W gromadzie Dobieszynsk w województwie bydgoskim ekipa z Włocławskiej Fabryki Fajansu za namową miejscowego sołtysa podzieliła się na trzyosobowe grupy i przystąpiła do zbierania 5 tys. zł zaległego podatku.

Szczególnie dotkliwe dla propagowania idei sojuszu robotniczo-chłopskiego były przypadki „podrywania” autorytetu brygad na skutek lekceważącego stosunku ich członków do ludności wiejskiej. W Izabelowie jeden z członków ekipy z łódzkich Zakładów Przemysłu Dziewiarskiej-

go krzyknął do chłopów na pożegnanie: „do widzenia, chamy”. Podobne zdarzenia miały miejsce w całym kraju i dotyczyły głównie brygad z dużych miast. Komisja łączności w jednym z warszawskich zakładów musiała nawet przyjąć uchwałę, „aby członkowie ekipy [...] nie używali niewłaściwych wyrażań w stosunku do chłopów, jak »cham«, »cep« itd.”

Chłopska nieufność

Trudno się zatem dziwić, że brygady robotnicze były przyjmowane przez chłopów z dużą nieufnością, tym bardziej że nie wierzono w bezinteresowność ich działań. Mieszkańcy wsi podejrzewali – skądinąd słusznie – że robotnicy wypełniają polecenia władz i mają za zadanie nakłanianie do tworzenia spółdzielni produkcyjnych i realizowania zobowiązań wobec państwa. Obawy te wpływały na określone zachowania chłopskie. We wsi Dziewuliny w województwie łódzkim, gdy członek ekipy zaczął mówić o kolektywizacji, początkowo „powstał zamęt i nie pozwolono [...] mówić o spółdzielni produkcyjnej”, a następnie robotnicy zostali pobici przez kobiety. Niekiedy brygada pojawiająca się we wsi musiała dowieść, że nie przybywa z polecenia władz. W województwie katowickim jedna z ekip „aby przekonać chłopów, że członkowie jej »nie są komuniści«, wystąpiła na chórze miejscowego kościoła”. Nawet podczas przyjazdu zespołu medycznego dawało się zauważyć „nieufność i niedowierzanie, czy ekipa rzeczywiście składa się z »prawdziwych lekarzy«”.

Nieprzychylność chłopów wynikała także z niedzielnych terminów wizyt ekip łączności i łamania religijnego zakazu pracy w święta kościelne. Mieszkańcy wsi starali się więc unikać spotkań z członkami ekip, niekiedy uciekając na sam widok zbliżającego się samochodu. W wojewódzkie opolskim zdarzały się nawet ucieczki sotyśców przed brygadami robotniczymi. Władze partyjne nie miały wątpliwości, że takie zachowania chłopów wynikały z „wrogiej działalności kleru”. Komitet Łódzki PZPR donosił do KC PZPR, że w Siemienicach „ksiądz z ambony gromił wszystkich tych, którzy pracują w niedzielę, i groził im karą boską. Skutek był taki, że gdy w niedzielę [...] przyjechała ekipa łączności z Łodzi, chłopci nie chcieli z nią nawet rozmawiać”. Podczas pobytu robotników we wsi księża mieli jakoby przedłużać nabożeństwa lub nawet odprawiać specjalne msze z udziałem sprowadzonych w tym celu misjonarzy. Oczywiście grono przeciwników zacieśniania więzi między sojusznicznymi klasami było liczniejsze, co więcej, działali oni w ścisłej współpracy. Informowano więc o przykładach tego współdziałania: „Kler w porozumieniu z bogatym chłopstwem i handlarzami urządza w niedzielę wycieczki pozagminne. Reakcyjna część nauczycielstwa pomaga w tej wrogiej propagandzie”.

Chłopi potrafili szybko dostrzec także praktyczne korzyści wynikające z pobytu robotników. W miarę osuwania się z wizytami ekip łączności coraz chętniej korzystano z pomocy medycznej czy napraw sprzętu, uczęszczano też na występy artystyczne. Liczne były przypadki udziału brygad robotniczych w pracach polowych, niekiedy nawet bez samych chłopów. Na wspomnianej odprawie sekretarzy wojewódzkich w 1949 r. Roman Zambrowski krytykował zauważalne już wówczas zjawisko, że „robotnicy remontując niekiedy ciężkie maszyny, nadwerężają się, a gromada chłopów stoi założywszy ręce i przygląda się, jak robotnicy na nich pracują”. Przez cały okres istnienia ruchu łączności częstym adresatem tego rodzaju pomocy były spółdzielnie produkcyjne. Na naradzie w Wydziale Propagandy KC PZPR w czerwcu 1956 r. informowano, „że w wielu jeszcze wypadkach robotnicy wykonują prace żniwne, omłotowe, wykopki itp. za spółdzielców, często bez ich udziału i bezpłatnie”. Po raz kolejny potępiono takie działanie jako „szkodliwe, bowiem demoralizuje spółdzielców i powoduje rozgoryczenie wśród robotników”.

Podstawowym celem ruchu łączności fabryk z wsią było pozyskanie poparcia chłopów dla propagowanych przez władze form życia społeczno-gospodarczego. Niejako równolegle – dzięki świadczonej pomocy i wzajemnym kontaktom – miała umacniać się więź między mieszkańcami miasta i wsi, stając się urzeczywistnieniem komunistycznej idei sojuszu robotniczo-chłopskiego. Żaden z tych celów nie został jednak przez ruch łączności zrealizowany, wielokrotnie natomiast – o czym świadczą przytoczone przykłady – realizacja pomysłu przynosiła rezultaty odwrotne od zakładanych.

¹ Według zamierzeń władz komunistycznych wsie samopomocowe miały na celu przede wszystkim „wyzwolenie i mobilizowanie twórczych sił i energii mas chłopów mało- i średniorolnych do prac zbiorowych” i przygotowanie mieszkańców wsi do pracy (w przyszłości) w spółdzielniach produkcyjnych. Wsie samopomocowe miały być wzorem dla pozostałych wsi, planowano więc zorganizowanie w nich ośrodków maszynowych wyposażonych w traktory i sprzęt rolniczy, a także pralnie, ośrodki zdrowia, biblioteki i świetlice. Prace nad rozwojem wsi samopomocowych zakończono w połowie 1948 r. z chwilą podjęcia decyzji o kolektywizacji.



UKRAŚĆ CZY SKOMBINOWAĆ

„Polska Ludowa” miała swoją specyficzną kulturę i obyczajowość. Wiele ciekawostek można znaleźć także w języku, którym na co dzień posługiwali się obywatele PRL.

W 1945 r. Kazimierz Wyki opublikował esej, w którym analizował zachodzące w Polsce procesy ekonomiczne. Uczynił to jednak nie z punktu widzenia nowych władz, czyli globalnych zmian ustrojowych i systemowych. Zastanawiał się raczej nad kontynuacją okupacyjnych praktyk ekonomicznych w codziennym życiu rodaków. Jak się okazuje, weszły one tak głęboko w mentalność Polaków, że nie dało się ich wypenić w nowej już sytuacji. Podstawową tezę artykułu Wyki jest mocne zakorzenienie się okupacyjnego podejścia do handlu oraz związanej z nim spekulacji i przekonanie o niemożności rozwiązywania problemów oficjalną, urzędową drogą. To wówczas zaczęły się tworzyć i utrwalać zwyczaje, zależności i praktyki, które funkcjonowały przez cały PRL. Zjawiskom tym towarzyszył specyficzny język i słownictwo, które w większości przetrwało do naszych czasów. Właśnie nad tym słownictwem zastanawiają się autorzy artykułów zamieszczonych w publikacji *The Unplanned Society*¹, dla której punktem wyjścia jest wspomniany esej Kazimierza Wyki. Warto zwrócić uwagę na ich wnioski i zastanowić się, czy nie są one nadal aktualne.

Analizując przedstawione przez Wykę zjawiska, polscy autorzy zastanawiają się nad znaczeniem wybranych wyrazów i próbują przybliżyć je amerykańskiemu czytelnikowi. Zadanie okazuje się karkołomne, bo jak przetłumaczyć na język angielski słowo „kombinować”? Podobnie jest z wieloma innymi określeniami.

Zrozumienie ich jest tym trudniejsze, że zachodni publicyści – zdaniem Elżbiety Firlit i Jerzego Chłopeckiego – mają kłopoty przede wszystkim z pojęciem mechanizmów, które rządziły „nieformalną” ekonomią w krajach wschodniego bloku.

Działanie na granicy prawa było w PRL nagminne, podobnie jak dopasowywanie nowego słownictwa do nieoficjalnych zabiegów. Zarówno więc „kombinowanie”, jak i „wynoszenie” (*to lift*, a dosłownie *to take out*) nie noszą zdaniem Wojciecha Pawlika znamion przestępstwa. Co więcej, uniwersalne określenie „kombinować” zawiera w sobie elementy pomysłowości i wynalazczości (*ingenious*). Oba działania – choć będące na granicy prawa – usprawiedliwiano i tylko osoby postronne lub „obcy” (*outsiders*) mogą zdefiniować na przykład „wynoszenie” jako kradzież.

Ogromną karierę w PRL zrobiło słowo „zafatwić” (*to arrange something*), określające zdaniem autora zabiegi, które pozwalają sięgnąć po korzyści materialne, stanowisko, miejsce w szpitalu itp., często nieosiągalne w zbiurokratyzowanych instytucjach. Jest ono podobne pod względem sensu do słowa „kombinować”, którego znaczenie jest jednak szersze.

Tworzył się wówczas łańcuch zależności, opisanych kolejnymi słowami. Żeby coś „zafatwić”, trzeba było mieć na przykład „dojście” poprzez koneksje do wpływowych osób, które mogły ułatwić otrzymanie przywilejów i korzyści (*through connections to bureaucrats or officials who can deliver privileges or services*). Autor dodaje, że działo się to zazwyczaj

za sprawę łapówki, która pozwalała przyspieszyć rozwiązanie interesującej petenta sprawy. Podkreśla też rolę alkoholu w „załatwianiu” tych spraw.

Typowo ekonomicznym określeniem, analizowanym przez autorów publikacji, jest „fu-cha” – w angielskim tłumaczeniu *an informal earning*, a także związane z nią słowo „boki”. Pozwalały one zdaniem Pawlika na uzyskanie nieformalnego zarobku czy dodatkowych dochodów, które niekoniecznie zasilają rodzinny budżet. Używa dla nich nawet określenia „kieszonkowe” (*pocket money*).

„Załatwienie” czegoś pociągało za sobą określone skutki. Osobę, która w tym pomagała, trzeba było jakoś wynagrodzić, i tutaj również pojawiły się słowa nieznanne – przynajmniej w tym kontekście – w innych językach, czyli: „zrewanżować się” (*to return a favor*) i „odwdzięczyc się” (*to return thanks*).

Pawlik wymienia przy tej okazji także słowo „opić”, które pozwalało „załatwić” wiele spraw. W dzisiejszym rozumieniu odnosi się jednak raczej do świętowania zakończonej sprawy lub formy „odwdzięczenia się”.

Wy tłumaczenie znaczenia prezentowanych słów anglojęzycznemu czytelnikowi jest więc niezwykle trudne. W przypadku niektórych wyrazów należałoby zastosować dwa tłumaczenia. Na przykład „wynosić” z pozoru wystarczyłoby przetłumaczyć jako *to lift* – nie oddaje to jednak „nowego” znaczenia tego słowa, które lepiej charakteryzuje angielski zwrot *to take out*.

Przykładów tego typu słownictwa można podać więcej. Ważniejsze jednak wydaje się zauważenie samego zjawiska. Okazuje się bowiem, że także język PRL wyrażał ogromne dysproporcje między oficjalnym wzorcem życia a szarą rzeczywistością. Trudno dziś ocenić, jak dalece źródeł tego zjawiska należy szukać w ułomności wprowadzonego systemu, a w jakim stopniu w predyspozycjach Polaków. Nie ulega jednak wątpliwości, że opisane przez Kazimierza Wykę procesy zostały w kolejnych dziesięcioleciach utrwalone na wiele lat, a niektóre wnioski pozostały niestety aktualne do dzisiaj.

¹ *The Unplanned Society*, New York 1992. Artykuły: W. Pawlik, *Intimate Commerce*, s. 78–94; E. Firlit, J. Chłopecki, *When Theft is Not Theft*, s. 95–109.

to return thanks

MIĘDZY KWATERUNKIEM A KANDYDATEM NA CZŁONKA

Wspólnym elementem wszystkich okresów historii PRL były problemy mieszkaniowe.

„Posiadanie własnego mieszkania jest elementarną potrzebą każdej rodziny. Mimo oczywistości tego stwierdzenia, istniejąca bardzo trudna sytuacja mieszkaniowa ogromnej części ludności, mająca w obecnej fazie charakter klęski społecznej, stwarza wrażenie, że tzw. kwestia mieszkaniowa jest rzeczą niemożliwą do rozwiązania przez nasze pokolenie”. Cytowany opis pochodzący z artykułu autorstwa Jana Dangla, opublikowanego w „Więzi” w 1958 r., *Sytuacja mieszkaniowa – drogi rozwoju budownictwa mieszkaniowego*¹ trafnie oddaje ówczesne problemy mieszkaniowe. Ten odpowiadający prawdzie ponury obraz to przede wszystkim efekt planu sześcioletniego (1950–1955), w którym priorytetem był rozwój przemysłu ciężkiego kosztem elementarnych potrzeb społeczeństwa.

Relacje z lat pięćdziesiątych są dobitnym świadectwem tragicznej sytuacji mieszkaniowej. 29 stycznia 1952 r. prymas Stefan Wyszyński zanotował: „Kolędy odstawiają nieraz tak okropne warunki mieszkaniowe, że trudno pojąć, jak ci ludzie mogą tam żyć”². Z kolei publicysta paryskiej „Kultury” zauważył, że większość ludzi w Warszawie woli spędzać czas na ulicach niż w ciasnocie i ńędzy swoich mieszkań³.

Stalinowskie dziedzictwo

Mimo olbrzymich zniszczeń wojennych (około 2,8 mln izb uległo zniszczeniu, a 850 tys. pozostało na terenach zajętych przez ZSRR) sytuacja mieszkaniowa zaraz po wojnie zbliżona była do warunków przedwojennych. Stało się tak przede wszystkim z powodu przejścia dużych zasobów mieszkaniowych na ziemiach zachodnich, gdzie w 1946 r. znajdowało się około 1,5 mln izb. Dość intensywnie postępowała również odbudowa mieszkań podczas realizacji planu trzyletniego – w latach 1947–1949 odbudowano około 500 tys. izb i wybudowano około 300 tys.⁴

Kres temu procesowi przyniósł rok 1948. Wtedy bowiem powołano Zakłady Osiedli Robotniczych, a następnie ubezwłasnowolniono spółdzielczość mieszkaniową. Odtąd za budownictwo, zwłaszcza w miastach, odpowiadać miało państwo. Realia planu sześcioletniego spowodowały, że zamiast budować mieszkania, zarządzano administracyjnie istniejącymi zasobami. W 1951 r. wydano dekret, na mocy którego poddano wszystkie nieruchomości tak zwanej publicznej gospodarce lokalami. Od tego momentu to urzędnicy wydziałów lokalowych zaczęli decydować, kto, z kim i gdzie będzie mieszkać. Właściciele praktycznie pozbawiono możliwości decydowania o swoim mieniu, to jest domach i mieszkaniach, w których często nie mogli nawet zamieszkać. Przeniesienie na polski grunt doświadczeń sowieckich „komunalek” prowadziło do działań skądinąd pożądaných przez stalinowski system – takich jak donosicielstwo i rozbicie naturalnych więzi społecznych. Jednocześnie niesło ze sobą negatywne skutki ekonomiczne. Tak zasiedlanych mieszkań nikt nie remontował, szybko więc popadały w ruinę, utrzymywane – w sposób sztuczny – na bardzo niskim pozio-

mie czynsze nie wystarczały na jakiegokolwiek remonty (czynsz za 50-metrowe mieszkanie wynosił w roku 1955 około 50 zł, zaś średnie wynagrodzenie – około 1000 zł)⁵. W okresie planu sześcioletniego zbudowano około 400 tys. mieszkań. Oznaczało to, że na każde nowe mieszkanie przypadały cztery nowo zawarte małżeństwa.

Niedoinwestowanie mieszkalnictwa wpływało również na jakość samych mieszkań i ich infrastrukturę. Według badań przeprowadzonych w 1960 r. wśród pracowników żerańskiej FSO zaledwie około 40 proc. miało w mieszkaniu ustępową, a tylko 33 proc. łazienkę⁶.

Zamiast na wódkę, czyli nowa polityka mieszkaniowa

Niszczące zasoby mieszkaniowe oraz niezadowolenie społeczne spowodowały, iż w okresie odwilży zdecydowano się również podjąć działania na rzecz poprawy warunków mieszkaniowych. Przełom w tej dziedzinie nastąpił już po październiku 1956 r., kiedy ogłoszono tak zwaną nową politykę mieszkaniową. Symbolizuje ją przemówienie I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki z 1957 r., który powiedział, że gdyby choć jedną trzecią tej kwoty, którą ludność wydaje na wódkę, wydano na budowę mieszkań, to w ciągu kilku lat zlikwidowano by ich brak. Nowe rozwiązania w mieszkalnictwie usankcjonowano w kilku istotnych aktach normatywnych powstających począwszy od 1957 r., między innymi w uchwałach z 15 marca 1958 r.: *Uchwale nr 59 Rady Ministrów w sprawie dodatkowej pomocy Państwa dla spółdzielczego budownictwa mieszkaniowego*, *Uchwale nr 60 Rady Ministrów w sprawie zakładowych funduszy mieszkaniowych*; *Uchwale nr 64 Rady Ministrów w sprawie budownictwa zakładowych domów mieszkalnych i zarządzania nimi* oraz *Uchwale nr 65 Rady Ministrów w sprawie zapewnienia realnej wartości wkładów na mieszkaniowych księżkach oszczędnościowych Powszechnej Kasy Oszczędności*.

Najważniejszym skutkiem ustaw i uchwał, za pomocą których tworzone „nową politykę mieszkaniową”, było wyłączenie spod publicznej gospodarki lokalami domów i mieszkań o powierzchni mniejszej niż 110 m² oraz przyznanie znaczących kredytów budownictwu indywidualnemu i spółdzielczości mieszkaniowej. Ta ostatnia zyskała szczególną przychylność władz, gdyż zwłaszcza jej lokatorska odmiana dała się łatwo pogodzić z ideologią systemu. Skutki nowej polityki mieszkaniowej ilustrują dane statystyczne. W latach 1956–1960 ponad 40 proc. nakładów pochłonęło budownictwo prywatne (trzeba jednak pamiętać, że znaczący odsetek tego budownictwa stanowiło budownictwo wiejskie). Około 5 proc. wybudowano w ramach budownictwa spółdzielczego, zaś nakłady państwowe na budownictwo zmalały z około 70 proc. w latach pięćdziesiątych do około 50 proc.⁷ Prawdziwym fenomenem organizacyjnym okazała się spółdzielczość mieszkaniowa, w ramach której w latach 1956–1960 wybudowano 110 tys. izb przy 1200 tys. izb powstałych ogółem w kraju.

Sukces spółdzielczości mieszkaniowej, która wznowiła swoją działalność przede wszystkim jako inicjatywa grupki zapaleńców związanej głównie ze spółdzielczością własnościową, dał władzom wiele do myślenia, tym bardziej że od 1958 r. ekipa gomułkowska wracała do koncepcji forsownego uprzemysłowienia kraju, co tradycyjnie miało odbyć się kosztem zaspokajania potrzeb bytowych społeczeństwa. Władze PRL zdecydowały się wspierać przede wszystkim spółdzielczość lokatorską. Stało się tak z kilku powodów. Spółdzielczość lokatorska budowała, zdaniem władz, oszczędniej niż inwestorzy prywatni i spółdzielczość własnościowa (średnia wielkość mieszkania wynosiła tam 50 m², podczas gdy w przypadku spółdzielczości lokatorskiej niewiele ponad 40 m²). Ze względu na mniejszy wkład własny wymagany od członków mogła – zdaniem władz – stać się również masową

alternatywą dla przydzielanych przez rady narodowe mieszkań kwaterunkowych. Wreszcie szybciej poddawała się państwowej kontroli ze względu na większą zależność finansową i łatwość centralizacji.

Te centralizujące działania rozpoczęły się już w 1958 r. W prasie ukazały się tendencyjne artykuły, w których – rozważając wady i zalety różnych form budownictwa – zdecydowanie wskazywano na spółdzielczość lokatorską, jako łączącą w sobie zarówno racjonalność ekonomiczną, jak i ideę egalitaryzmu. W ślad za tym nastąpiły decyzje administracyjne, pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęto ograniczać kredyty dla prywatnych inwestorów i spółdzielni własnościowych. Zdecydowano się również łączyć istniejące spółdzielnie i podporządkowywać ich działalność kontroli rad narodowych. Przede wszystkim zaś odebrano spółdzielniom ich własne przedsiębiorstwo wykonawcze – w 1959 r. upaństwowiono Spółdzielcze Przedsiębiorstwo Budowlane. Odtąd monopolistą na rynku usług budowlanych były – podobnie jak w okresie stalinowskim – Dyrekcje Budowy Osiedli Robotniczych.

Mimo tych tendencji, nowa polityka mieszkaniowa przyniosła jednak pewne rezultaty. Jak szacował w wygłoszonym w marcu 1961 r. przemówieniu wicepremier Julian Tokarski, w 1960 r. na izbę przypadało 1,72 osoby, co było trochę mniejszym zagęszczeniem niż w 1956 r., kiedy na izbę przypadało 1,75 osoby, nadal jednak była to gorsza sytuacja niż w 1950 r., gdy na jedną izbę mieszkalną przypadało 1,6 osoby. Nie rozwiązano jednak problemu jakości mieszkań. Według danych z ankiety, przeprowadzonej w 1961 r. przez władze spółdzielczości, w pomieszczeniach niemieszkalnych – na strychach i suterrenach – mieszkało 5 tys. osób oczekujących na spółdzielcze mieszkanie, zaś około 15 tys. mieszkało w mieszkaniach, w których na jedną osobę przypadało mniej niż 5 m². Notabene średni czas oczekiwania na spółdzielcze mieszkanie wynosił wtedy 2–3 lata, w kwaterunku kilkakrotnie dłużej. Również w wielu miastach nie odnotowano żadnej poprawy, przykładowo w Radomiu w 1960 r. zagęszczenie wynosiło 2,1 osoby.

Miejsca pracy zamiast mieszkań

Pod koniec lat pięćdziesiątych Instytut Gospodarki Mieszkaniowej przygotował prognozy sytuacji mieszkaniowej. Według nich wybudowanie w latach 1961–1965 około 2250 tys. izb dla ludności nierolniczej gwarantowało odczuwalną poprawę, 1900 tys. – niewielką, zaś 1800 tys. – stabilizację. Władze wybrały wariant oznaczający stagnację, jeśli nie pogorszenie sytuacji mieszkaniowej. W latach 1961–1965 wiele budynków ze względu na bezpieczeństwo ich mieszkańców należało po prostu rozebrać. O podjęciu takiej decyzji przez władze zdecydowało prawdopodobnie przekonanie samego Gomułki, który wierzył, że o wiele ważniejsze niż poprawa sytuacji mieszkaniowej było stworzenie dla wyżu demograficznego nowych miejsc pracy, które miały powstać w przemyśle ciężkim.

Równocześnie władze postanowiły głębiej sięgnąć do kieszeni obywateli, „rozwijając” spółdzielczość lokatorską. Według przyjętych założeń w latach 1961–1965 miano wybudować 1800 tys. izb, z tego 450 tys. izb spółdzielczych, to jest czterokrotnie więcej niż przed tą datą. Jednocześnie w okresie realizacji planu pięcioletniego znacząco zmalała liczba mieszkań budowanych przez prywatnych inwestorów, którym władze ograniczały kredyty i przydziały materiałów budowlanych.

W praktyce oznaczało to ubezwłasnowolnienie spółdzielczości, której podstawową zasadą funkcjonowania było otwarte członkostwo i swoboda przynależności, oraz powodowało nierówne traktowanie obywateli. Zakładano, że mieszkania spółdzielcze miały być przeznaczone dla osób zamożniejszych, czyli takich, których dochód w rodzinie wynosił ponad



Na warszawskim osiedlu (ze zbiorów A.B.)

1500 zł miesięcznie. Uważano, że najzamożniejszych będzie stać na własne domy i segmenty, pozostałym zaś mieszkania miał zapewniać, jak dotychczas, kwaterunek. Jak wiele rozwiązań socjalnych w PRL, okazało się to fikcją. Mieszkań kwaterunkowych wcale nie otrzymywali najubożsi i najbardziej potrzebujący. Wyznaczono bowiem specjalne pule, z których mieszkania kwaterunkowe przydzielano funkcjonariuszom PZPR, wojska, MO, pracownikom administracji, a także potrzebnym na danym terenie fachowcom. Skrajnym przykładem może być sytuacja w Szczecinie w 1960 r., gdzie z 1700 wybudowanych mieszkań ponad 1000 ujęto w specjalne pule. O mieszkania spółdzielcze ubiegali się natomiast osoby biedne, które – mimo swojego niskiego statusu majątkowego – nie miały szansy otrzymania mieszkania kwaterunkowego. Najbardziej krzywdzące było to, że koszt utrzymania mieszkania spółdzielczego był znacznie wyższy niż kwaterunkowego. Spółdzielca płacił bowiem wyższy czynsz – około 350 zł miesięcznie (czynsze w mieszkaniach kwaterunkowych były nadal sztucznie utrzymywane na bardzo niskim poziomie – około 90 zł za 50-metrowe mieszkanie⁸) i musiał spłacać zaciągnięty kredyt w wysokości około 500 zł miesięcznie. Wydatki łącznie oscylowały więc w granicach 800–900 zł miesięcznie, gdy średnia płaca wynosiła około 1600 zł, a najniższe wynagrodzenie – 700 zł.

Mieszkaniowa „mizeria”

W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych miały już miejsce zjawiska charakterystyczne dla całej dekady gomułkowskiej. W ramach zaniżonych limitów inwestycyjnych (te były potrzebne do rozwoju przemysłu) usiłowano wybudować jak najwięcej mieszkań. Konsekwentnie starano się więc zarówno ograniczać metraż, jak i cenę każdego metra kwadratowego. Działania takie prowadziły do absurdów: wprowadzenie normatywów powierzchniowych zniechęcało do budownictwa w ramach spółdzielczości własnościowej. Prywatni inwestorzy woleli budować domy, niż korzystać z ciasnych mieszkań. Oszczędności poczynione na każdym metrze kwadratowym Instytut Gospodarki Mieszkaniowej eufemistycznie określał jako zmniejszanie się „społecznej użyteczności mieszkań”, choćby przez to, że wielkość przydzielanych mieszkań dostosowywano do istniejącej w momencie ich przydzielania liczebności rodziny. Jeden z członków władz spółdzielczości mieszkaniowej określił skutki stosowanych wówczas zasad następująco: „Ci, co za dwadzieścia lat zamieszkają w tych mieszkaniach, będą nam złorzeczyć”. Argumenty takie nie wpływały na koncepcje ekonomiczne władz i *idée fixe* Gomułki. To właśnie wtedy powstały słynne „ślepe” kuchnie – znak firmowy gomułkowskiego czternastolecia, oraz tak zwane budownictwo oszczędne. Zakładano, że średni koszt metra kwadratowego powinien zostać zmniejszony z 2400 zł do 1900 zł. W ten sposób chciano zrealizować plan dotyczący budownictwa przynajmniej w 30 proc. i – co istotne – zarówno budownictwa będącego w gestii rad narodowych, jak i spółdzielczego i zakładów pracy.

Ci ostatni inwestorzy próbowali bronić się przed tymi ograniczeniami, które często sprowadzały się do zmniejszenia ilości kładzionych tynków w mieszkaniach oraz budowania jednego ustępu dla kilku mieszkań, redukcji tak zwanych powierzchni niemieszkalnych, czyli zmniejszania klatek schodowych i przedpokoi. Wątpliwe były również podstawy ekonomiczne, jakimi się kierowano, wprowadzając oszczędne budownictwo. Brakowało bowiem postulowanych tańszych i nowocześniejszych materiałów, a pragnąc przypodobać się władzom, rady narodowe często zmieniały gotowe już i zatwierdzone plany inwestycyjne na tak zwane budownictwo oszczędne. Według obliczeń NIK w 1964 r. koszt takich „oszczędnych” domów był czasami większy niż „normalnych”.

W 1965 r. podjęto działania, które zdeterminowały politykę mieszkaniową nie tylko na najbliższe pięć lat, ale praktycznie do końca PRL. Najistotniejszą zmianą było wprowadzenie instytucji „kandydata na członka” i związanej z nią procedury. Kandydatem była więc osoba, która – systematycznie oszczędzając na spółdzielcze mieszkanie – musiała znaleźć się na liście oczekujących, nie wiedząc, kiedy otrzyma swoje mieszkanie i nie mając uprawnień członkowskich (tylko do 1970 r. status kandydata na członka uzyskało około 500 tys. osób). Odtąd głównym dostawcą mieszkań miały być przede wszystkim lokatorskie spółdzielnie mieszkaniowe, przy założeniu, że przejmą większość zadań kwaterunku. Stać się tak miało wskutek zwiększenia kredytowania spółdzielczości lokatorskiej, przy jednoczesnym zmniejszeniu dochodu na jednego członka rodziny, który uprawniał do ubiegania się o mieszkanie w spółdzielni (od 1965 r. miało to być 800 zł). Wprowadzenie instytucji „kandydata na członka” w żaden sposób nie rozwiązało problemów mieszkaniowych, spowodowało za to przeniesienie kolejek osób oczekujących na mieszkania z rad narodowych do spółdzielczości. Zabieg ten odegrał również istotną rolę drenażową – w 1965 r. szacowano, iż ściągnięto się w ten sposób z rynku około 32 mld zł.

W 1965 r. podjęto decyzję, której skutki należy oceniać raczej pozytywnie, zdecydowano się bowiem podnieść czynsz w budynkach rad narodowych do wysokości podobnych do kwot opłacanych w budynkach lokatorskich. Czynsz ten, nawet po podwyżce, był relatywnie kilkakrotnie niższy niż obecnie i wynosił 180 zł za 50-metrowe mieszkanie⁹ (średnia pensja w 1965 r. wynosiła 1900 zł).

Ani w latach sześćdziesiątych, ani w następnych dekadach nie udało się w Polsce rozwiązać problemu mieszkaniowego. Stało się tak mimo rekordowego jak na owe czasy tempa i rozmiarów budownictwa w latach siedemdziesiątych, kiedy to w najlepszych latach budowano około 220 tys. mieszkań rocznie. Według danych podawanych przez Andrzeja Jezierskiego, na podstawie spisu z 1978 r., deficyt mieszkań szacowano na 1,6 mln, zaś w 1988 r. – na 2,9 mln¹⁰.

W porównaniu z latami sześćdziesiątymi zmieniło się zaś mniej więcej tyle, że wszystkie patologie mieszkalnictwa kwaterunkowego przeszły wraz z oczekującymi na mieszkanie do spółdzielczości (korupcja, przypadkowość przydziałów, nieuwzględnianie indywidualnych preferencji i potrzeb). Pod koniec PRL z „odwilżowego” entuzjazmu spółdzielców w 1956 r. pozostało już tylko blade wspomnienie.

¹ J. Dangel, *Sytuacja mieszkaniowa – drogi rozwoju budownictwa mieszkaniowego*, „Więź” 1958, nr 6.

² Por. S. Wyszynski, *Pro memoria*, mps, Instytut Prymasowski Ślubów Narodu, Warszawa 2001.

³ B. Brzostek, *Robotnicy stalinowskiej Warszawy. Konflikty codzienne (1950–1954)*, Warszawa 2002, s. 25.

⁴ J. Dangel, *op. cit.*

⁵ W. Litterer-Marwege, *Problemy poziomu i granicy ceny mieszkania (w:) Mieszkalnictwo. Zagrożenia i szanse rozwoju*, red. H. Kulesza i W. Nieciński, Warszawa 1989.

⁶ W. Czeczarda, *Warunki i życzenia mieszkaniowe pracowników Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie (sprawozdanie z badań ankietowych)*, Warszawa 1961, s. 31.

⁷ A. Jezierski, C. Leszczyńska, *Historia gospodarcza Polski*, Warszawa 2001, s. 489.

⁸ W. Litterer-Marwege, *op. cit.*

⁹ *Ibidem*.

¹⁰ A. Jezierski, C. Leszczyńska, *op. cit.*, s. 489.

JAK DŁUGO ZAŁOGA BĘDZIE CZEKAĆ NA BUTY?

Niedobór towarów w Polsce na początku lat osiemdziesiątych stał się zjawiskiem powszechnym i codziennym. Stan ten zaczęto potocznie nazywać „kryzysem ekonomicznym”. Bardzo trudna sytuacja gospodarcza panowała w województwie toruńskim, którego mieszkańcy uskarżali się na brak podstawowych artykułów przemysłowych.

Latem 1981 r. w wielu miastach Polski doszło do spontanicznych strajków i marszów głodowych. Wprowadzona wiosną 1981 r. przez rząd gen. Wojciecha Jaruzelskiego reglamentacja „deficytowych dóbr” niewiele zmieniła (w kwietniu 1981 r. zaczęły obowiązywać kartki na mięso, masło i przetwory zbożowe). Torunianie powszechnie uważali, że w ich województwie zaopatrzenie rynku jest znacznie gorsze niż w innych regionach kraju. Najbardziej odczuwano brak butów. W Toruniu w okresie stanu wojennego problem kupienia butów znalazł odzwierciedlenie nawet w dokumentach Służby Bezpieczeństwa. Tamtejsza „bezpieka” w miesięcznych sprawozdaniach, kierowanych do ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka¹, sygnalizowała trudności związane z zakupem obuwia. W sprawozdaniu z sytuacji polityczno-operacyjnej za luty 1982 r. stwierdzano: „Utrzymują się braki w zaopatrzeniu, przede wszystkim w odzież i obuwiu”. W marcu 1982 r. pisano: „Najbardziej odczuwalne są kłopoty zaopatrzeniowe w obuwiu. Coraz częściej notujemy, aby ten towar reglamentować”. Natomiast w kwietniu w „zainteresowaniu operacyjnym” toruńskiej SB znalazła się sprawa protestu załogi Oddziału Napraw Parowozów Lokomotywowni PKP Toruń Kluczyki.

Pracownicy toruńskiej lokomotywowni, zamiast wypłacanego im ekwiwalentu pieniężnego, żądali od kierownictwa zakładu pracy obuwia i odzieży roboczej. Sfrustrowani robotnicy w złożonym proteście pytali: „1. Dlaczego tylko nieliczni otrzymali koszule, kalesony itp., natomiast pozostałym daje się ekwiwalent pieniężny, za który slip nie można nawet kupić? 2. Jak długo załoga będzie czekać na buty? Nawet nowo przyjęci muszą pracować we własnym obuwiu”. Zagrożono, że jeżeli kierownictwo nie wyda do końca kwietnia zaległych za cztery miesiące przydziałów butów i odzieży ochronnej, to załoga odmówi wykonywania pracy.

W maju sprawa zaopatrzenia sklepów województwa toruńskiego w obuwiu była tematem posiedzenia Wojewódzkiego Komitetu Obrony. WKO podjął decyzję o wyciągnięciu sankcji służbowych wobec osób winnych zaniedbań w organizacji handlu. Sankcje nic nie pomogły, sytuacja na rynku obuwniczym nie uległa zmianie, torunianie nadal byli niezadowoleni z zaopatrzenia sklepów.

Buty a reforma gospodarcza

Problemu braku obuwia nie rozwiązała rozpoczęta 1 stycznia 1982 r. reforma gospodarcza. Wprowadzona w jej ramach podwyżka cen nie przyczyniła się do uzdrowienia rynku, spowodowała natomiast znaczne obniżenie stopy życiowej. W sklepach nadal nie można



było kupić butów. Toruńskie „Nowości” na początku lipca informowały: „Społeczeństwo dotkliwie odczuwa występujący na rynku ostry deficyt obuwia. Niepokojące są również i perspektywy w tym zakresie”.

W połowie roku kryzys obuwniczy osiągnął w całym kraju apogeum. W lipcu 1982 r. władze zdecydowały o militaryzacji zakładów garbarskich oraz podjęły bezpośrednią ingerencję w organizację produkcji obuwia, ograniczając liczbę modeli butów przygotowywanych przez fabryki. Komitet Gospodarczy Rady Ministrów podjął decyzję o zwiększeniu dostaw butów na rynek o dodatkowe 6 mln par. Zapowiedziano, że do końca roku produkcja obuwia wyniesie około 64 mln par, w tym ze skóry i tworzyw skóropodobnych 39 mln par. Na statystycznego Polaka miało przypaść 1,4 pary. Plany te urzeczywistniono², ale dopiero pod koniec roku, latem i wczesną jesienią butów nadal nie można było kupić.

Władze nie chciały się zgodzić na centralną reglamentację obuwia, ponieważ wydane kartki nie miałyby pokrycia w towarze. Dlatego minister handlu wewnętrznego i usług przesłał wojewodom jedynie zalecenie wprowadzenia, w zależności od sytuacji, trzech różnych form sprzedaży sterowanej. Pierwszą zakładano sprzedaż butów na talony, które otrzymałby każdy obywatel. Druga proponowała wprowadzenie sprzedaży na listy imienne, dla tych osób, którym ze względu na wykonywaną pracę buty są niezbędnie potrzebne. Nie wykluczałoby to sprzedaży obuwia na wolnym rynku. Trzecia przewidywała sprzedaż za pośrednictwem zakładów pracy. Nie eliminowało to wprowadzenia talonów, list imiennych, a także sprzedaży obuwia na wolnym rynku.

W województwie toruńskim coraz częściej powtarzały się postulaty wprowadzenia sprzedaży sterowanej. Utrzymujące się braki w zaopatrzeniu w obuwiu zwróciły uwagę Inspekcji Sił Zbrojnych Ministerstwa Obrony Narodowej, która przeprowadziła w województwie toruńskim kontrolę (w kwietniu 1982 r.) i rekontrolę (w sierpniu 1982 r.). Pod wpływem tych kontroli, a ściślej wskutek negatywnej oceny sytuacji panującej w województwie przez ISZ MON, organizacja partyjna KW PZPR w Toruniu opowiedziała się za wprowadzeniem sprzedaży sterowanej, polegającej na bezpośrednim zaopatrywaniu w obuwiu zakładów pracy, w których nad dystrybucją deficytowego towaru czuwałyby POP.

Talony na buty

W odpowiedzi na liczne postulaty mieszkańców wojewoda podjął decyzję o wprowadzeniu talonów na buty i wyroby pończosnicze w okresie od 1 września do 31 grudnia 1982 r. Wstrzymano sprzedaż obuwia w zakładach pracy, z wyjątkiem sprzedaży na cele BHP. Talony przysługiwały: stałym mieszkańcom województwa toruńskiego, a także pracownikom jednostek gospodarki uspołecznionej mieszkającym wraz z rodzinami w hotelach robotniczych i kwaterach prywatnych, oraz studentom i uczniom szkół średnich z internatów. Talony wydawano sukcesywnie od września do października. W pierwszej kolejności otrzymały je dzieci i młodzież w wieku do 15 lat, w drugiej kolejności pracownicy jednostek uspołecznionych i ich rodziny oraz rolnicy indywidualni, w trzeciej – renciści i emeryci, a także pracownicy rzemiosła i handlu oraz osoby niepracujące. Na jeden talon można było kupić jedną parę butów. Jednocześnie wojewoda toruński wprowadził sprzedaż na listy imienne obuwia gumowego i gumowo-filcowego dla rolników.

Jednak nie wszyscy mieszkańcy województwa toruńskiego mogli do końca 1982 r. kupić buty na talony. W Toruniu pojawiły się one w połowie września. Tylko nieco więcej niż połowa dorosłych mieszkańców toruńskiego mogła liczyć na zrealizowanie talonu. We wrześniu oczekiwano, że na 450 tys. dorosłych mieszkańców województwo otrzyma najwy-

żej 260 tys. par butów (pierwotnie liczono na 220 tys.). W związku z tym przedłużono ważność talonów do końca marca 1983 r. Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług zamierzało w pierwszym kwartale 1983 r. dodatkowo uzyskać z importu 28 mln par butów, dzięki którym możliwa byłaby realizacja talonów.

Nie każdy mógł kupić takie buty, jakie chciał, gdyż struktura podaży była również ustalana centralnie. Dyrektor Wydziału Handlu Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu w wywiadzie udzielonym lokalnej prasie ubolewał: „Nic nie możemy poradzić na to, że wśród 220 000 par tylko 7,9 proc. to obuwie jesienno-zimowe. 22,5 proc. tegorocznych dostaw stanowią buty letnie, a reszta to tzw. obuwie całoroczne, czyli półbuty”.

A butów jak nie było, tak nie ma

Pomimo wprowadzenia talonów na buty w sprawozdaniach toruńskiej SB za październik 1982 r. notowano, że „nadal najbardziej odczuwalny jest brak obuwia dla dorosłych”. Potwierdzano to w sprawozdaniu za listopad 1982 r., dodając, że utrzymujący się brak butów „wpływa ujemnie na nastroje społeczne”. Trudna sytuacja i niskie płace w stosunku do podwyższonych cen wywołały wśród mieszkańców województwa toruńskiego radykalizację poglądów. Rządzącym zarzucano, że „po prostu kpią z ludzi pracy”.

W grudniu 1982 r. sprzedaż butów na talony w Toruniu obejmowała już tylko obuwie zimowe i całoroczne. Buty letnie nie były objęte reglamentacją. Jednak już w styczniu 1983 r. ponownie wprowadzono talony na buty letnie. Z początkiem 1983 r. w magazynach było coraz więcej butów i mieszkańcy województwa mogli realizować talony z 1982 r. Z informacji zanotowanej przez toruńską SB w sprawozdaniu za luty 1983 r. wynika, że: „Niezadowolenie pracowników handlu budzi nadmierne nagromadzenie zapasów magazynowych obuwia i artykułów pończosznich, co powoduje wzrost kosztów własnych tych przedsiębiorstw”.

W raportach toruńskiej SB z początku 1983 r. pisano: „istniejąca sytuacja w kraju powoduje narastanie stresów społecznych, które doprowadzą do wybuchu powszechnej rewolucji, nie zahamują jej nawet czołgi radzieckie” oraz że „brak w kraju polityka, który mógłby być przywódcą powszechnie uznanym przez społeczeństwo. Nie jest nim gen. Jaruzelski, bo za czasów Gierka był w Biurze Politycznym i nie przeciwdziałał popełnionym wypaczeniom”. Zauważono także, że: „90 proc. społeczeństwa, szczególnie młodzież, jest przeciwko partii i »reżimowi«”.

¹ Analiza sytuacji polityczno-operacyjnej w województwie toruńskim, IPN, 17 IIX 1231, t. 53.

² W 1982 r. produkcja obuwia w Polsce wyniosła 67,3 mln par; *Rocznik statystyczny 1984*, Warszawa 1984, s. 564.



USUNĄĆ ZANIEDBANIA RESORTU!

Wbrew obiegowym opiniom, na warunki życia codziennego w PRL narzekali również funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa.

Swoje skargi i postulaty funkcjonariusze SB i MO zgłaszali nawet w stanie wojennym, kiedy – wydawałoby się – to właśnie służbom mundurowym żyło się najlepiej. Nie oznacza to wcale, że sytuacja materialna milicjantów była w tym czasie szczególnie dramatyczna czy nawet gorsza od innych grup zawodowych, chodziło raczej o wykorzystanie dogodnej sytuacji do podwyższenia standardu życia.

Interesującym materiałem źródłowym dotyczącym kwestii warunków pracy i życia milicjantów i esbeków w latach osiemdziesiątych jest dokument zatytułowany *Analiza warunków socjalno-bytowych funkcjonariuszy MO i SB garnizonu elbląskiego* z października 1982 r. Domagali się oni radykalnej poprawy standardu życia i pracy funkcjonariuszy resortów siłowych. Postulat sformułował Komitet Wojewódzki PZPR w Elblągu na podstawie materiałów Komendy Wojewódzkiej MO. W dokumencie zwracano uwagę na trudy pracy elbląskich milicjantów i esbeków w okresie stanu wojennego, które miały wpływać między innymi na powstawanie u nich takich dolegliwości i chorób, jak: nadciśnienie, nerwica, stres, choroba wrzodowa i wieńcowa. Ponadto, jak czytamy w opracowaniu KW PZPR w Elblągu, wiele do życzenia pozostawiały warunki mieszkaniowe funkcjonariuszy. Część z nich zajmowała bowiem mieszkania o niskim standardzie, innym z kolei w warunkach stanu wojennego właściciele wypowiadali stancje i pomieszczenia sublokatorskie.

Te i inne argumenty pozwoliły KW PZPR wysunąć zaskakujący wniosek: „w ostatnich latach szereg priorytetów usunęło na plan dalszy resort MSW”, a „zaniedbania w tym zakresie [poprawy warunków socjalno-bytowych funkcjonariuszy – przyp. S.C.] ostro zarysowały się w okresie wzmożonej działalności organów porządku i bezpieczeństwa publicznego”.

16 IX 82^o

ANALIZA

warunków socjalno-bytowych funkcjonariuszy MO i SB garnizonu elbląskiego

Do czynników, które decydują o socjalno-bytowym poziomie życia funkcjonariuszy MO i SB garnizonu elbląskiego, należy przede wszystkim zaliczyć:

- płace i zarobki,
- zaopatrzenie i wyżywienie,
- stan zdrowia i opieka medyczna,
- rekreacja i wypoczynek,
- warunki mieszkaniowe,
- warunki pracy.



Promocja oficerska w szkole milicyjnej (ze zbiorów OBEP IPN w Gdańsku)

I. PŁACE I ZAROBKI

Aktualnie przeciętne wynagrodzenie funkcjonariusza wynosi około 9 tys. złotych (pensja nowo przyjętego – 8750 zł, pensja funkcjonariusza ZOMO – 8750 zł).

Istotnym problemem budżetów rodzinnych jest praca zarobkowa żon funkcjonariuszy. Ze względu na trudności, szczególnie [na terenie] wiejskim, uzyskanie odpowiedniej pracy oraz nienormowany czas pracy męża uniemożliwia podjęcie pracy zarobkowej przez żony funkcjonariuszy.

Wśród rodzin dominują rodziny posiadające troje i więcej dzieci. W tych rodzinach średnia na jednego członka rodziny wynosi około 2 tys. złotych. W szeregu przypadkach powszechnym staje się wykorzystanie urlopów na dodatkowe zarobki w celu podreperowania budżetu rodzinnego.

II. ZAOPATRZENIE I WYŻYWIENIE FUNKCJONARIUSZY

Na normalnych zasadach reglamentacji, niektóre artykuły spożywcze i przemysłowe sprzedawane są w nielicznych punktach handlowych P[rzedsiębiorstwa] G[ospodarczo-H[andlowego] „KONSUMY”.

Wyżywienie prowadzą stołówki w Elblągu i Kwidzynie oraz bufety K[omendy] M[iejskiej] MO w Elblągu i Malborku oraz K[omendy] MO w Sztumie. Sieć ta jest bardzo ograniczona i nie obejmuje Komisariatów i Posterunków MO.

III. STAN ZDROWIA I OPIEKA ZDROWOTNA

Stan zdrowia funkcjonariuszy ocenia się jako niezadowolający. Zdecydowany wpływ na taki stan ma:

- specyfika służby sprowadzająca się do dużych obciążeń psychicznych i stresów,
- nieunormowany czas pracy i związane z tym nieregularne odżywianie się,
- pełnienie służby zewnętrznej niezależnie od warunków atmosferycznych,
- brak warunków wypoczynku i właściwej rekreacji.

Do najczęstszych trwałych schorzeń występujących u funkcjonariuszy należą: nerwica, choroba wrzodowa, schorzenie gościcowe, schorzenie wieńcowe i nadciśnienie.

Opieka profilaktyczna i lecznicza prowadzona w oparciu o Politechnikę^b KW MO oraz ambulatoria terenowe jest zadowolająca. Dzięki dobrej współpracy, w oparciu o 110. Szpital Garnizonowy na bardzo wysokim poziomie zabezpieczone jest leczenie specjalistyczne.

Poprawnie funkcjonuje działalność opiekuńcza. Głównym jej nurtem to: opieka nad rodzinami wielodzietnymi i rodzinami po zmarłych funkcjonariuszach.

IV. REKREACJA I WYPOCZYNEK

Pomimo szeregu trudności na właściwym poziomie zabezpiecza się zbiorowy wypoczynek w okresie zimowym i letnim dzieci i młodzieży.

W zakresie organizacji zbiorowego i indywidualnego wypoczynku funkcjonariuszy i ich rodzin bazuje się wyłącznie na limitach skierowań na wczasy resortowe. Limity te nie pokrywają w pełni zapotrzebowań. Brak własnego ośrodka wczasowego uniemożliwia organizację wypoczynku sobotnio-niedzielnego. Trudności bazowe oraz brak możliwości wygospodarowania czasu nie pozwala na rozwój sportu i kultury fizycznej.

V. WARUNKI MIESZKANIOWE

Sytuacja w [tym – S.C.] zakresie jest najbardziej dokuczliwa. W woj. elbląskim na mieszkanie oczekuje około 400 funkcjonariuszy. Około 50% załóg posterunków zamieszkuje poza terenami właściwej gminy.

W większości mieszkania zajmowane przez funkcjonariuszy są bardzo niskiego standardu i o dużym zagęszczeniu.

Aktualnie najpilniejszym problemem jest pozyskanie obiektu z przeznaczeniem na hotel dla funkcjonariuszy. Brak takiego obiektu uniemożliwia nabór do służby w organach MO.

W ostatnim okresie notuje się nagminnie wypowiedanie funkcjonariuszom stancji i pomieszczeń sublokatorskich.

VI. WARUNKI PRACY

W katastroficznych warunkach lokalowych znajduje się Komenda Miejska MO w Elblągu. Jej bazę stanowią tymczasowo postawione baraki bez żadnego zaplecza, o akustycznych ścianach i bez aresztu.

W podobnie trudnych, zagrzybionych i mało funkcjonalnych budynkach skoszarowani są funkcjonariusze ZOMO. Komenda Wojewódzka MO w Elblągu zajmuje obiekt o znacznym zużyciu. Ciasnota i niefunkcjonalność eliminują ten obiekt do wykonywania zadań zgodnie z przeznaczeniem.

Baza lokalowa niektórych jednostek terenowych nie nadaje się do dalszego użytkowania. Istnieje pilna potrzeba budowy nowych obiektów względnie większych prac modernizacyjnych w takich jednostkach jak: Nowy Staw, Gardeja, Sadlinki, Godkowo, Markusy, Prabuty, Płoskinia, Kisielice i Mikołajki Pomorskie.

WNIOSKI

W ostatnich latach szereg priorytetów usunęły na plan dalszy resort MSW. Zaniedbania w tym zakresie ostro zarysowały się w okresie wzmożonej działalności organów porządku i bezpieczeństwa publicznego.

W województwie elbląskim do bardzo pilnych zadań warunkujących właściwe funkcjonowanie organów MO i SB należy:

1. Rozpoczęcie budowy nowych obiektów KW MO w Elblągu.
2. Pozyskanie obiektu dla potrzeb Komendy Miejskiej MO.
3. Podjęcie budowy dalszych obiektów koszarowych ZOMO w Elblągu.
4. Budowa hotelu dla funkcjonariuszy MO i SB.
5. Rozpoczęcie budowy nowych posterunków w: Nowym Stawie, Sadlinkach i Godkowie.
6. Podjęcie zakładowego budownictwa mieszkaniowego.
7. Pozyskanie obiektu z przeznaczeniem na ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy sobotnio-niedzielny.

Opracował:
Wydział Administracyjny KW PZPR
w oparciu o materiały KW MO

Elbląg, październik 1982 [r.]

Źródło: Archiwum Państwowe w Elblągu z siedzibą w Malborku, KW PZPR w Elblągu, sygn. 477, k. 130–134.

^a Datę dopisano odręcznie.

^b Chodzi najpewniej o poliklinikę.

W WALCE O CZYSTOŚĆ MORALNĄ

Prostytucja od wieków funkcjonuje jawnie lub w ukryciu. W Polsce pozostawała ona problemem zarówno w dwudziestoleciu międzywojennym, jak i w PRL.

W Europie proceder uprawiania prostytucji i związana z nią przestępczość kryminalna przybrały taką skalę, że w 1923 r. Liga Narodów wystąpiła do państw członkowskich z propozycją tworzenia służb policji kobiecej. Uważano, że kobiety najbardziej nadają się do walki z takimi przestępstwami, jak handel żywym towarem, sutenerstwo, nielegalne domy publiczne oraz niedostosowanie społeczne dzieci i młodzieży. Po zakończeniu kursów szkoleniowych (pierwsze z nich miały miejsce w 1925 r.) policjantki przydzielano do organów służby śledczej, tworząc w ich ramach sekcje (brygady) obyczajowe.

W Polsce w 1922 r. część funkcjonariuszy służby śledczej Policji Państwowej przeszkolono w prowadzeniu nadzoru nad osobami uprawiającymi nierząd. Do obowiązków tych policjantów należało śledzenie i obserwowanie kobiet, które swym zachowaniem wzbudzały podejrzenie zawodowego uprawiania nierządu, a także wykrywanie przypadków sutenerstwa, prowadzenia domów publicznych oraz handlu żywym towarem.

Wiodącą rolę w zakresie zwalczania prostytucji i przestępczości z nią związanej odgrywał Urząd Śledczy Miasta Stołecznego Warszawy¹. Od 1936 r. problematyką tą zajmował się Wydział IV – Centrala Służby Śledczej Komendy Głównej Policji Państwowej. W skład tego wydziału wchodził Referat VI – Policji Kobiecej².

W Wolnym Mieście Gdańsku w dwudziestoleciu międzywojennym policja obyczajowa kontrolowała domy publiczne, zwracając uwagę na naruszanie porządku w samym „miejscu rozrywki” i w jego otoczeniu. Niekiedy takie „przybytki” należały do obiektów niemal na stałe wpisanych w krajobraz miasta, gdyż funkcjonowały nieprzerwanie przez kilkadziesiąt lat. Do takich „zabytków” należały gdańskie domy publiczne przy Hinter Adlersbrauhaus 18, 19, 20 i Schloßgasse 4, 5, 6, które w 1921 r. obchodziły trzydziestolecie istnienia. Z zachowanego raportu policyjnego wynikało, że dwa mieszkania przy Schloßgasse 6 należały do wdowy Pauliny Mathae, karanej za stręczycielstwo już w 1919 r. Pani Mathae wraz z córką – Luise Borowski (również karaną za to samo) – wynajmowały oba lokale prostytutkom³.

„Domy uciech” były niejednokrotnie widownią niecodziennych zdarzeń. Także dziś trudno powstrzymać się od śmiechu, czytając opis sytuacji, jaka miała miejsce około 1921 r. w warszawskim zamtuzie przy ulicy Litewskiej. Oficer techniczny mokotowskiego lotniska ppor. Zygmunt Wasilewski wstawił się biegiem z Litewskiej na lotnisko. Gonił go tłum panienek lekkich obyczajów, „mama” Kapuścińska, policja i przechodnie. W zasadzie w sprincie oficera nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie to, że ppor. Wasilewski ubrany był tylko w czapkę i buty⁴.

Druga wojna światowa pogłębiła upadek obyczajów, ubożenie społeczeństwa i rozluźnienie norm moralnych, zawodowe uprawianie nierządu stało się więc kolejnym problemem dla władz „ludowego” państwa. I w tym przypadku dopatrywano się podtekstów ideologicznych. Według *Tymczasowej instrukcji o obowiązkach Milicji Obywatelskiej w walce z nierządem*: „w naszych warunkach zjawisko prostytucji (podobnie jak i inne kłęski społecz-



Patrol MO i ORMO (ze zbiorów IPN w Gdańsku)

ne) należy do spuścizny stosunków **sanacyjno-kapitalistycznych** [w oryginale podkreślenia – P.S.] i wyływa z wywołanej wojną **dezorganizacji** życia społecznego i z **braku przygotowania zawodowego kobiet**, oraz z zakorzenionych w społeczeństwie nawyków **podwójnej moralności burżuazyjnej**. Doświadczenia państw demokratycznych, a także dane historyczne pozwalają stwierdzić z całą stanowczością, że prostytucja **nie jest instytucją wieczną**, lecz jest wytworem określonych stosunków ekonomiczno-społecznych i że **ginie wraz z obaleniem tych stosunków**⁵.

Zwalczanie nierządu w Polsce w latach czterdziestych regulowały następujące przepisy:

- art. 203–214 kodeksu karnego,
- Dekret o zwalczaniu chorób wenerycznych z 1946 r., zmieniony 16 stycznia 1947 r.,
- Rozporządzenie Prezydenta RP o zwalczaniu żebractwa i włóczęgostwa z 14 października 1927 r.,
- okólnik Ministerstwa Zdrowia z 23 listopada 1946 r. o komisjach społecznych do spraw zwalczania chorób wenerycznych,
- art. 51 Prawa o wykroczeniach⁶.

Walka z nierządem karalnym, chorobami wenerycznymi i nadzór nad osobami zawodowo trudniącymi się nierządem należały do obowiązków wszystkich jednostek MO. Koordynacją poczynił zajmowała się Sekcja IV Wydziału Śledczego Komendy Głównej MO. W komendach wojewódzkich i miejskich istniały referaty i sekcje do spraw walki z nierządem (w wydziałach służby śledczej poszczególnych komend).

Zakres zainteresowań jednostek MO obejmował dwie kategorie przestępstw:

1. nierząd z chęcią zysku:
 - ofiarowanie się do nierządu osobie tej samej płci,

- ułatwianie cudzego nierządu,
 - sutenerstwo,
 - nakłanianie do zawodowego nierządu,
 - handel żywym towarem,
 - pornografia;
2. przestępstwa seksualne:
- czyn nierządny z nieletnimi (poniżej 15 roku życia) lub upośledzonymi,
 - gwałty,
 - kazirodztwo,
 - nierząd publiczny lub w obecności nieletniego⁷.

Instrukcja wyjaśniała różnice pojęć „dom publiczny” i „miejsce schadzek”. Za dom publiczny uważano lokal, w którym zamieszkują więcej niż dwie kobiety zawodowo uprawiające nierząd. Lokal taki miał gospodarza (gospodynię) pomagającego w tym procederze i czerpiącego z niego zyski. Natomiast dom schadzek był miejscem, z którego korzystały osoby niemieszkające tam stale i zawodowo uprawiające nierząd.

Praca funkcjonariuszy MO sprowadzała się do wykrywania miejsc rozpusty, tropienia i zatrzymywania stręczycieli, handlarzy żywym towarem i sutenerów oraz czuwania, by publiczne zakłady rozrywkowe nie stały się miejscami pracy prostytutek. Do rozpracowania takich obiektów i środowisk wykorzystywano sieć agenturalno-informacyjną, prowadzono też działania prewencyjne w restauracjach, hotelach, parkach itp. Funkcjonariuszom zalecano unikanie akcji i rewizji nieprzygotowanych, które mogłyby przyczynić się do wzmożenia ostrożności osób uprawiających nierząd bądź czerpiących z niego korzyści⁸.

W ramach walki z prostytucją i związaną z nią przestępczością funkcjonariusze MO mogli w pracy operacyjnej korzystać z informacji uzyskanych od kobiet lekkich obyczajów. Do pracy wymagającej kontaktów z prostytutkami-informatorkami starano się dobierać funkcjonariuszy poważnych i zrównoważonych, aby ewentualne pokusy nie wpływały na tok służby i wyniki w pracy⁹.

Bez obawy popełnienia pomyłki można dziś powiedzieć, że nadzieje na likwidację prostytucji za pomocą marksistowskiej ideologii szybko okazały się płonne. W lansowanym w latach siedemdziesiątych serialu o MO *07 zgłoś się* por. Borewicz w swej pracy nagminnie ocierał się o środowisko „panienek”. Dziś wystarczy przeczytać gazetę w rubryce „towarzystwie” lub „zabłądzić” w Internecie... Wnioski nasuwają się same.

¹ A. Misiuk, *Policja Państwowa 1919–1939. Powstanie, organizacja, kierunki działania*, Warszawa 1996, s. 320–323.

² A. Peptoński, *Policja Państwowa w systemie organów bezpieczeństwa Drugiej Rzeczypospolitej*, Szczytno 1991, s. 75.

³ P. Semków, *Policja w Wolnym Mieście Gdańsku (1921–1939)*, „Przegląd Policyjny” 2000, nr 1(57)—2(58), s. 70.

⁴ J. Meissner, *Wiatr w podeszwach*, Warszawa 1971, s. 24–26.

⁵ *Tymczasowa instrukcja o obowiązkach Milicji Obywatelskiej w walce z nierządem, bez miejsca i roku wydania*, s. 5.

⁶ *Ibidem*, s. 6–7.

⁷ *Ibidem*, s. 12–13.

⁸ *Ibidem*, s. 10–11.

⁹ *Ibidem*, s. 15.

SZOWINIZM I CHULIGAŃSTWO W SPORCIE

Burdy i rozróby podczas imprez sportowych nie pojawiły się wraz z III Rzecząpospolitą. W okresie PRL były wstydliwie przemilczane.

Od wieków sport budził wielkie emocje u małych i wielkich tego świata. Często też bywał wykorzystywany przez polityków do własnych celów. Nie inaczej było w krajach „demokracji ludowej”, w tym w Polsce, chociażby w przypadku udziału polskich sportowców w olimpiadzie w Los Angeles w 1984 r. Podobnie jak sportowcy z większości krajów socjalistycznych nie pojechali oni do Stanów Zjednoczonych w rewanżu za amerykański bojkot olimpiady w Moskwie cztery lata wcześniej. Sport w PRL, podobnie jak inne dziedziny życia, miał się toczyć według reguł z góry określonych przez władze.

A jednak okazywało się często, że widowiska sportowe rządzą się własnymi prawami. Sportowcy i kibice niejednokrotnie traktowali je jako możliwość pokazania swej wyższości nad Wielkim Bratem. W latach osiemdziesiątych służyły również zamanifestowaniu sympatii dla Lecha Wałęsy i zdelegalizowanej w stanie wojennym „Solidarności” (za co ZOMO szczególnie „opiekowało się” kibicami Lechii Gdańsk). Bywało też i odwrotnie, że widowiska sportowe łączyły zwykłych obywateli z reprezentantami władz. Awantury na stadionach urządzali nie tylko „kibice” (w tym mundurowi), ale też działacze klubowi (w tym wojskowi i milicjanci).

Po 1989 r. na szczęście odpolityczniono polski sport, jednakże większość problemów – na czele ze zwykłym chuligaństwem nie mającym nic wspólnego z rywalizacją sportową – pozostała nadal aktualnych.

Poniżej przedstawiam obszernie fragmenty informacji zamieszczonej w „Biuletynie Biura Sekretariatu KC PZPR” nr 98 z 4 lipca 1961 r.

INFORMACJA W SPRAWIE ZWALCZANIA PRZEZ PRASĘ SZOWINIZMU I CHULIGAŃSTWA W SPORCIE

Po meczach tenisowych o Puchar Davisa¹, po sześciomeczu szablowym², po starciu tegorocznego Wyścigu Pokoju³ i wreszcie po meczu Polska–ZSRR⁴ padły cierpkie uwagi na temat zachowania się części publiczności na stadionach. Publiczność ta swoim postępowaniem deprymowała zarówno naszych, jak i obcych zawodników. Jednakże dzięki awantury, szowinizm sportowy, złe wychowanie i podnoszenie temperamentu za pomocą alkoholu nie znajdowały należytego potępienia tak u organizatorów, jak i w prasie sportowej. W związku z tym Biuro Prasy [KC PZPR] odbyło spotkanie z redaktorami naczelnymi pism sportowych, na którym sprawa walki z szowinizmem została postawiona jako problem nr 1. Ponieważ spotkanie wykazało, że część sprawozdawców prasy, radia i telewizji przebieg widowisk sportowych relacjonuje nie obiektywnie [tak w oryginale – G.M.], lecz z zaangażowaniem klubowym, zdecydowano, żeby najbliższe zebranie Zarządu Klubu Dziennikarzy Sportowych przy SDP poświęcić temu problemowi. Zebranie to odbyło się w dniu 10 bm.⁵ w Szczecinie. Głównym tematem jego obrad była sprawa przeciwdziałania ujemnym zjawiskom w naszym sporcie.

[...] Tak w referatach, jak i w dyskusji wskazywano źródło istniejącej sytuacji: niewłaściwa organizacja imprez sportowych; szowinizm niektórych działaczy, trenerów i zawodników; brak kultury osobistej oraz niedostateczne wychowanie części publiczności i kibiców; brak zdecydowanych kroków MO przeciwdziałających chuligaństwu na stadionach; niewłaściwe wystąpienia niektórych dziennikarzy w prasie, radio i telewizji.

Dla poparcia tych tez przedstawiono szereg przykładów, takich jak: wracający z meczu bokserskiego w Bielsku sędzia tego spotkania został obrzucony na dworcu kolejowym kamieniami; w Poznaniu sędzia bokserski w czasie meczu po napomnieniu udzielonym za nieczystą walkę miejscowemu zawodnikowi musiał wysłuchać kilkuminutowego skandowania widzów „sędzia świnia”; po meczu bokserskim w Kaliszu sędzia musiał udać się pod opiekę milicji, ponieważ rozwydrzony tłum kibiców usiłował go pobić; w czasie meczu piłkarskiego o mistrzostwo pierwszej ligi na stadionie Wojska Polskiego w Warszawie szef Klubu Sportowego Legia płk Potorejko „demonstrował” w łozы honorowej karczemną bójkę z kapitanem milicji. Tłem bójki były odmienne zdania na temat drużyny wojskowej; w Krakowie jeden z działaczy klubu sportowego Wisła⁶ kpt. Bednarczyk, do niedawna sekretarz tego klubu, permanentnie na meczach swojej drużyny wchodzi na boisko i w sposób niewybredny interweniuje u sędziów. Również zachowanie kilku innych działaczy Wisły na meczach zespołu tego klubu jest dla publiczności prowokujące. Przykłady te świadczą o poważnej sytuacji, którą pogłębia fakt, że szowinizmem objęci są również działacze klubowi, a więc ci, którzy w pierwszym rzędzie powinni spełniać rolę wychowawców w sporcie.

Również władza państwowa nie przejawia chęci interweniowania w wypadkach chuligańskich wybryków tak widzów, jak i działaczy czy zawodników. Np. w głośnej sprawie pobicia przez czołowego boksera Mariana Kasprzyka⁷ pewnego małżeństwa. Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki nie zajął żadnego stanowiska, mimo że prasa wyraźnie się tego domagała. Próby krytyki prasowej natrafiają na zdecydowane lekceważenie, a nawet wywołują szykany w stosunku do dziennikarzy. Oto podawane przykłady: dziennikarze krakowscy mieli trudności z zamieszczeniem wiadomości na temat zwolnienia z KS Wisły czechosłowackiego trenera Finka, ponieważ działacze klubu załatwili w cenzurze krakowskiej zakaz publikowania tej wiadomości; prezes klubu Cracovia Rejduch (przewodniczący WPKG), do którego działalności prasa miała wiele zastrzeżeń, z zasady nie odpowiadał na krytykę, oświadczając, że Cracovia będzie odpowiadać tylko na artykuły, które on uzna za słuszne; po ukazaniu się w prasie krakowskiej zdjęcia z meczu piłkarzy Wawelu z podpisem piętnującym ostrą grę tego zespołu redakcja otrzymała od zarządu Wojskowego Klubu Wawel list wysoce obraźliwy dla fotoreportera, w którym ponadto zarząd zapowiada, że fotoreporter ten nie będzie wpuszczany na stadion Wawelu. Te i podobne im przykłady zniechęcają dziennikarzy sportowych do pisania na wspomniane tematy.

Mówiąc o złej organizacji imprez sportowych, zwracano głównie uwagę na słaby poziom spikerów. Twierdzono, że przeważnie są to ludzie rekrutujący się spośród sfanatyzowanych działaczy lub kibiców miejscowych drużyn. Wykorzystują oni bardzo często mikrofon do takiego organizowania widowiska, aby ich drużyna za wszelką cenę zwyciężyła.

Zwrócono ponad to [tak w oryginale – G.M.] na bardzo często niewłaściwą postawę organów bezpieczeństwa. W wypadkach awantur MO interweniuje jedynie proforma [tak w oryginale – G.M.], a bywają nawet wypadki, że funkcjonariusze bezpieczeństwa sami stają się chuliganami. Np. sprawozdawca radiowy w Szczecinie, który skrytykował niewłaściwą postawę zawodników Gwardii⁸, został z miejsca zaatakowany przez podpitych nieumundurowanych funkcjonariuszy MO. Kiedy sprawozdawca w obawie przed pobicie zwrócił



Sędziowie podczas jednej z imprez sportowych na Stadionie Dziesięciolecia (ze zbiorów A.B.)

się o pomoc do umundurowanych milicjantów, spotkał się z obojętnością. Pomocy udzielił mu dopiero przypadkowo znajdujący się na stadionie oficer MO. Ponadto zwracano uwagę, że Milicja Obywatelska z zasady nie interweniuje w przypadkach urządzania pijackich libacji na stadionach, jak również nie egzekwuje zarządzeń zabraniających przebywania ludziom w stanie nietrzeźwym na terenie obiektów sportowych.

Omawiając zachowanie się widzów, krytykowano brak opieki nad wycieczkami udającymi się na imprezy sportowe. Zdaniem zebranych za zachowanie tych wycieczek nikt w zasadzie nie odpowiada i w tej sytuacji stają się one bardzo często domeną działalności pijaków, chuliganów, [którzy – G.M.] stają się inicjatorami skandalicznych awantur. Np. awantury na Stadionie Dziesięciolecia podczas meczu piłkarskiego Polska–ZSRR rozpoczęły bardzo liczne wycieczki ze Śląska. Pierwsze butelki na boisko rzucone zostały z sektorów, które zajmowali śląscy kibice.

Najwięcej miejsca w dyskusji szczecińskiej poświęcono jednak niedociągnięciom radia, telewizji, prasy, która swymi nieprzemyślanymi niekiedy publikacjami czy wystąpieniami wypacza również wychowawczą rolę sportu. Relacje sprawozdawców radia i telewizji prowadzone są bardzo często w tonie wywołującym historyczne nastroje w naszym społeczeństwie. Dziennikarze z radia i telewizji przyzwyczaili się robić z każdej porażki naszego boksera czy kolarza tragedię narodową. Stawiają oni zawodników na piedestał półbogów. Np. sprawozdawca telewizyjny z meczu piłkarskiego Polska–ZSRR rozdzierał szaty nad krzywdą naszego bramkarza, rzekomo wyrządzoną przez piłkarza radzieckiego⁹. Ten sam sprawozdawca po-

zwolił sobie również na niewybredne epitety pod adresem sędziów jednego ze spotkań hokejowych na mistrzostwach świata w Szwajcarii.

Bardzo krytycznie oceniono pisma sportowe. Potępiono akcję „Przeglądu Sportowego” ufundowania złotego medalu Tadeuszowi Walaskowi, który zdaniem tego pisma niesłusznie przegrał w finale pięściarskiego turnieju olimpijskiego w Rzymie¹⁰. Takie postępowanie podrywa autorytet sędziów i wytwarza psychozę krzywdy, z jaką spotykają się nasi reprezentanci.

[...] „Przeglądowi Sportowemu” zarzucano również brak bojowości, szczególnie w sprawach wychowawczych. Pismo to poświęca bardzo mało miejsca na krytykę, a o ile ona już się znajdzie, to jest prowadzona niekonsekwentnie. Zdaniem dyskutantów pewne przyczyny tego leżą w mocnym zaangażowaniu się poszczególnych dziennikarzy „Przeglądu Sportowego” w pracę związków sportowych. Np. redaktor naczelny jest prezesem Polskiego Związku Kolarskiego, a kierownik działu piłkarskiego członkiem zarządu Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Kilka krytycznych uwag dotyczyło również drugiego naszego pisma sportowego, katowickiego „Sportu”. Redakcji tego pisma zarzucono ślepe forowanie sportowców śląskich i tworzenie tym samym nastrojów szowinistycznych.

¹ Prawdopodobnie chodzi o rozegrany w dniach 10–12 czerwca 1961 r. mecz Polska–Francja.

² VII międzynarodowy turniej o „Szablę Wołodyjowskiego” (z udziałem reprezentacji Polski, ZSRR, Stanów Zjednoczonych, RFN, Francji i drugiej reprezentacji Polski) odbył się 10–12 marca 1961 r. Podobnie jak w przypadku meczu Polska–Francja w „Przeglądzie Sportowym” brak informacji o jakichkolwiek zakłóceniach tych imprez. Mało tego, można wręcz przeczytać o „wzorowym zachowaniu publiczności” po zakończeniu zawodów szablowych.

³ XIV Wyścig Pokoju rozpoczął się 2 maja 1961 r. kryterium ulicznym dookoła Warszawy. Etap wygrał zawodnik NRD Lothar Hoehne, a na Stadionie Dziesięciolecia, gdzie zawodnicy finiszowali, przewrócił się reprezentant ZSRR Gejnan Sajdhudzin. Po etapie „Przegląd Sportowy” pisał: „Bardzo nam smutno, ale Warszawa nie zdobędzie poparcia dla miasta, które najlepiej przyjęło Wyścig Pokoju, dopóki będący w mniejszości, ale krzykliwi przedstawiciele zacietrzewieńców będą brali górę nad tymi, którzy umieją dopingować swoich i oklaskiwać zwycięzców oraz współczuć pechowcom, skąd by nie pochodzili”.

⁴ Chodzi o rozegrany 21 maja 1961 r. w Warszawie mecz piłki nożnej. Polska drużyna w obecności 70–75 tys. widzów zgromadzonych na Stadionie Dziesięciolecia zwyciężyła 1:0.

⁵ Powinno być: 10 czerwca.

⁶ Wisła Kraków została założona w 1906 r. Po drugiej wojnie światowej stała się (przynajmniej z nazwy – Gwardyjskie Towarzystwo Sportowe) klubem milicyjnym.

⁷ Marian Kasprzyk, reprezentant Polski w boksie w kategorii lekkopółśredniej.

⁸ Gwardia Warszawa została założona w 1948 r. jako klub sportowy resortu spraw wewnętrznych.

⁹ Na początku drugiej połowy spotkania na polu karnym drużyny polskiej doszło do starcia szarżującego napastnika radzieckiego Gienadija Kraśnickiego z naszym bramkarzem Edwardem Szymkowiakiem. Incydent ten spowodował opisywane wcześniej rzucanie butelek przez widzów. Tak opisał go „Przegląd Sportowy” (skądinąd nie wspominając o rzucaniu butelek): „Ci, co gorzej widzieli, myśleli, że Kraśnicki kopnął w głowę Szymkowiaka. Powstaje bardzo nieprzyjemna atmosfera, którą podsyca jeszcze szaleńczy rajd karetki pogotowia przez boisko”.

¹⁰ Tadeusz Walasek w finale wagi średniej podczas Igrzysk XVII Olimpiady przegrał z reprezentantem USA Edwardem Crookiem.

ARTYŚCI W CZASIE OKUPACJI

Na skutek polityki „kulturalnej” hitlerowskiego okupanta większość aktorów i literatów pozbawiono możliwości normalnej pracy. Tylko nieliczni łamali bojkot gadzinowej prasy i takichże teatrzyków.

Kazimierz Wyka w swojej książce *Życie na niby* słusznie zauważył, że podczas okupacji w Polsce „tylko nieliczne zawody wolne, zwłaszcza lekarze i aptekarze, żyli normalnie ze swojej pracy. Reszta inteligencji albo zesła poniżej minimum życia, wysprzedawała się i pauperyzowała, albo żyła z jakimś powtarzającym się cudem. Nie miały w tym udziału mioty paczki portugalskie, tureckie, szwedzkie. Kawa, herbata, sardynki w nich zawarte szły w brzuchy grubszych dorobkiewiczów, spełniając zasadniczą rolę w budżetach iluż rodzin inteligentnych. Dodajmy do tego znaczne kwoty, które w Warszawie zwłaszcza – były pomowane na cele polityczne przez Londyn, a rozchodziły się na cele nader rozmaite”¹.

Delegatura Rządu na Kraj otrzymywała pieniądze z Londynu, które przesyłano przez kurierów drogą powietrzną². Następnie delegatura rozdzielała pieniądze pomiędzy departamenty, te zaś przekazywały je odpowiednim organizacjom podziemnym. Departament Oświaty i Kultury (kierował nim Czesław Wycech) rozdzielał pieniądze wśród władz konspiracyjnych środowiska artystycznego.

Pomoc dla aktorów

Polskim aktorom, którzy zbojkotowali nakaz rejestracji, pieniądze z ramienia Delegatury Rządu rozdzielała Tajna Rada Teatralna. Komitet wykonawczy TRT otrzymywał stałą dotację pieniężną w wysokości od 2,5 tys. zł miesięcznie w 1940 r. do 30 tys. zł w 1944 r. Fundusz ten wykorzystywano na symboliczne wynagrodzenia artystów, którzy brali udział w tajnych pracach teatrów (wydatki rzeczowe) i na realną pomoc dla artystów dramatycznych ściganych przez gestapo bądź znajdujących się w trudnych warunkach materialnych (opieka społeczna). W grupie wydatków rzeczowych mieściły się wynagrodzenia za udział: w TRT, pracach studyjnych tajnego teatru, audycjach poetyckich, szkolnictwie teatralnym, przygotowaniu repertuaru teatrów (za zamówione u pisarzy nowe sztuki teatralne). Wypłacano honoraria architektom, którzy przygotowywali plany odbudowy lub budowy budynków teatralnych. Tajna Rada Teatralna finansowała również nagrody przydzielane w konkursach dramatycznych³. Fundusz „opieki społecznej” służył pomocą przede wszystkim tym aktorom, którzy znajdowali się w obozach koncentracyjnych i więzieniach. Rodzinom aresztowanych wypłacano zasiłki. Pomagano też aktorom ściganim przez gestapo z przyczyn politycznych lub rasowych. Udzielano subwencji zasłużonym aktorom, takim jak Irena Solska, Aleksander Zelwerowicz, a także rodzinom chorych lub znajdujących się w trudnych warunkach materialnych, jak Stefan Jaracz, Edmund Wierciński. Z funduszy TRT korzystało 139 osób⁴. Tajna Rada Teatralna nie tylko uzyskiwała pieniądze od Delegatury Rządu, ale również z prywatnych darów. Stefan Jaracz otrzymywał miesięcznie około 5 tys. zł, ponieważ z powodu gruźlicy gardła musiał leczyć się w sanatorium w Otwocku. Pieniądze pochodziły ze zbiórek organizowanych wśród lekarzy, aptekarzy, adwokatów. Ci dawali chętnie, aby uwielbiany Jaracz mógł leczyć się w lepszych warunkach⁵.

Fundusze dla literatów

Pieniądże wśród literatów z ramienia delegatury rozdzielał Jarosław Iwaszkiewicz. Nie zachowały się jednak żadne dokumenty, gdyż Iwaszkiewicz zniszczył po wojnie wszystkie notatki. Funkcję dysponenta funduszu dla literatów zaproponowali mu Stanisław Lorentz (kierownik działu kultury i sztuki w Departamencie Oświaty i Kultury) i Władysław Zawistowski. Zdecydowały o tym dwa względy. Iwaszkiewicz miał wielu przyjaciół i znajomych wśród literatów. Był materialnie niezależny, a nawet sam wspierał finansowo swoich kolegów. Iwaszkiewicz się zgodził, a do pomocy poprosił Jerzego Andrzejewskiego w celu kontrolowania wydawanych sum⁶.

Nie wiadomo dokładnie, ilu literatów otrzymywało pieniądze od Delegatury Rządu. Na pewno korzystał z nich Jan Parandowski, któremu miesięcznie wypłacano 1000 zł⁷. Spośród młodych poetów pieniądze otrzymywali Krzysztof Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy i, być może, Zdzisław Stroiński.

Poza Delegaturą Rządu pomocy udzielał Front Odrodzenia Polski Zofii Kossak-Szczuckiej. Z tego źródła subwencję w wysokości 200 zł przyznano Andrzejowi Trzebińskiemu⁸. Zofia Kossak zdobywała pieniądze w tylko jej wiadomych miejscach, a roznosiła je tączniczka, Maria Przetęcka „Urszula”⁹.

Londyński Fundusz Kultury Narodowej przysyłał paczki żywnościowe i odzieżowe dla środowiska kulturalnego Polski. Początkowo zakres jego działalności nie był określony. Pomoc dla rodzin w Polsce zorganizowano przy pomocy PCK za zgodą rządu brytyjskiego. Paczki otrzymało około 3000 osób, z czego 600 systematycznie co miesiąc¹⁰. W październiku 1940 r. Jan Hulewicz (kierował pracami funduszu) ustalił pierwszą listę osób ze środowiska literackiego i naukowego: dwadzieścia osób z Warszawy i czternaście z Krakowa. W grudniu 1940 r. istniało już pięć list z 250 nazwiskami, w styczniu 1941 r. było ich osiem. Coraz częściej napływały z kraju informacje, że wszystkie paczki docierają do adresatów. Wobec tego ustalono listy 75 osób, głównie z Warszawy i Krakowa, którym już stale pomagano w ten sposób.

Wiosną i latem 1941 r. Hulewicz starał się o dołączenie kolejnych warszawskich adresów osób ze środowiska naukowego i literacko-artystycznego. W styczniu 1942 r. wysłano ze Sztokholmu paczki odzieżowe¹¹. Adresatami było pięćdziesiąt osób ze świata literackiego i naukowego. W tej akcji częściowo uczestniczył Czerwony Krzyż. Przesyłki ze Szwecji w dużej mierze zawierały towary amerykańskie. Z Ankary wysyłano paczki głównie z tytoniem, oliwkami, suszonymi owocami¹².

Jak sobie radzili aktorzy

W czasie okupacji najlepszym sposobem na przetrwanie była przedsiębiorczość. Aktorzy, którzy zbojkotowali pracę w teatrzykach, zaczęli zakładać kawiarnie lub się w nich zatrudniać jako kelnerzy. W okresie wojny w Warszawie było dużo takich lokali, między innymi: „Pod Znachorem”, „Bazar”, „Sztuka”. Najpopularniejsza, a zarazem najdroższa w Warszawie była kawiarnia „U Aktorek”. Mieściła się przy ulicy Pięknej 12, a po utworzeniu w tej okolicy dzielnicy niemieckiej przeniesiono ją do budynku przy Mazowieckiej 5¹³. Każdy z założycieli kawiarni „U Aktorek” (dziesięć osób) miał po sześć udziałów. Pozostałe należały do osób prywatnych, od których z czasem aktorki wykupiły resztę udziałów. Wynagrodzenie za pro-wadzenie lokalu w wysokości 10 proc. od dziennego utargu pobierali udziałowcy i pracownicy. Potem wynagrodzenie to wynosiło: dla udziałowców 20 proc. (10 proc. – kelnerskie i 10 proc. – dla założycielek i za „nazwiska”), a dla pracowników 10 proc.¹⁴ Cały dzienny utarg wpływał do wspólnej kasy, potem dzielono go między udziałowców



W dniu 15-go marca odbyło się uroczyste otwarcie „Krakowskiego Teatru Powstańczego”. Inauguracji dokonał Starosta Miejski Krämer. Na ilustracji widoczny przedstawiciel władz. Od lewej: Szef dystryktu Krakowskiego, Gubernator dr von Burgsdorff, Prezydent Ohlenbunck, dyrektor teatru Świechło, prof. dr Piłotowicz i R. G. O., Starosta Miejski Krämer i kierownik artystyczny teatru Fabisiak.



Starosta Miejski Krämer w czasie wygłoszenia przemowy.



Powyżej na prawo: Grzegorz Sanowski, senior artystów krakowskich, składa Generalnemu Gubernatorowi na ręce prezydenta Ohlenbuscha pisemne podziękowanie w imieniu swych koleżanek i kolegów za umożliwienie artystom w dzisiejszych czasach pracy w ich ukochanym zawodzie.



Na lewo: Prof. dr Piłotowicz i R.G.O. w czasie przemówienia, w którym dziękują Generalnemu Gubernatorowi za inicjatywę, a władzom za poparcie przy urządzeniu teatru.

Na prawo: Kierownik artystyczny nowego teatru, Fabisiak, brzdlił w swą mowę sadzenie nowego teatru.



Na prawo: Fragmenty nowej sali teatralnej. Jak widzimy choćby i powyżej zamieszczonego fragmentu, wnętrze gmachu Starego Teatru zmieniło zupełnie swój wygląd. Z dużym smakiem i poczuciem artystycznym urządzone nie tylko sale teatralne i sceny, ale także przyległą salę bufetową, wesołub i schody oraz garderoby na parterze. Całe urządzenie wykonane z należącego materjału, pomimo trudności spowodowanych wojną. Wielką nowością na terenie Krakowa jest niewątpliwie obrotowa scena, sławiąca uspełnienie niezwykłej pięknej i nowoczesnie urządzonej



Fotoreportaż z prasy godzinowej



Powyżej: Emocjonująca scena „Aniela Świeka” (Berta). Halina Dudzić-Lalotowska (Wozyna), Adamem Doboszem (hrabia Alcega) i Eugeniuszem Macoszkowskim (Figaro).

Na prawo: Figaro i hrabia Alcega.

poniżej: Opera „Cyrulik Sewilla” nie tylko charakteryzującą się pięknymi melodiami, ale i skrytą satyrą i humorem. Figaro i Bartolo (Bolesław Bolko).



Figaro



i pracowników. Interes szedł wylądować – klienteli nie brakowało. W kawiarni można było zobaczyć występ między innymi Miry Zimińskiej i Janiny Romanówny oraz wielu innych znanych artystów (co miesiąc kawiarnia ustalała repertuar)¹⁵. Za występ w kawiarni artysta mógł zarobić 500–700 zł¹⁶. Jednak Jan Kreczmar, który pracował w kawiarni „U Aktorek”, napisał, że aktor, który zdecydował się na pracę jako kelner, zarabiał zdecydowanie mniej niż na przykład w teatrzyku rewiowym¹⁷. Maria Malicka przeszła z kawiarni „U Aktorek” do „Komedii”, ponieważ w teatrze zaproponowano jej znacznie lepsze warunki finansowe. W 1944 r. aktor w „Komedii” zarabiał 250 zł dziennie, a więc około 7 tys. zł miesięcznie. Roman Niewiarowicz, główny reżyser tego teatru, zarabiał około 50 tys. zł miesięcznie. Praca Niewiarowicza w teatrze była tylko przykrywką dla jego działalności konspiracyjnej. Był oficerem wywiadu ofensywnego WW 72¹⁸, czy według innych źródeł kontrwywiadu ZWZ – AK. Pierwszą jego zasługą było „rozpracowanie” Igo Syma (aktora podejrzewanego o współpracę z wywiadem niemieckim jeszcze przed wojną, kolaborującego z Niemcami w czasie jej trwania), które zakończono wykonaniem wyroku śmierci. Zarobki reżysera budziły kontrowersje wśród aktorów. Bohdan Korzeniewski twierdził, że taka pensja dla osoby, która działała w podziemiu, wydawała się w okresie wojny bardzo podejrzana. Zarobki Romana Niewiarowicza były ogromne w stosunku do zarobków aktorów pracujących w kawiarniach lub zasiłków przyznawanych przez Delegaturę Rządu (zasiłek wynosił 600–1000 zł miesięcznie). W czasie okupacji lepiej było aż tyle nie zarabiać¹⁹. Po wojnie sąd weryfikacyjny Związku Artystów Scen Polskich uznał jego zasługi konspiracyjne, ale zawiesił go w działalności artystycznej (na rok pozbawiono go uprawnień organizacyjnych i na trzy lata zakazu pełnienia funkcji kierowniczych) za nadużywanie swojego stanowiska w okresie okupacji.

Niektórych aktorów Niemcy szantażem zmuszali do współpracy. Zależało im na stworzeniu pozorów, że w Polsce panuje „ład i porządek”, a ludzie, którzy się nie buntują, mają zapewnioną rozrywkę na odpowiednim dla nich poziomie. Bogusław Samborski zagrał w antypolskim filmie *Heimkehr*, prawdopodobnie po to, by ratować żonę-Żydówkę. Także Adolf Dymśa twierdził, że do występów został zmuszony²⁰. Kazimierz Junosza-Stępowski grał w „Komedii”, gdyż nie potrafił nie pracować w teatrze. W kawiarni „Znachor” jako kelner nie czuł się najlepiej. Aktorzy mówili, że nie rozumiał słów „walka”, „opór”²¹. Przyjmował pracę tam, gdzie więcej płacili. Taki po prostu był. Ale gdy Igo Sym proponował mu bardzo wysoką gażę za rolę w filmie *Heimkehr*, kategorycznie odmówił²². Współpracujący z Niemcami aktorzy dostali w czasie wojny upomnienia władz podziemnych. Po wojnie sąd ZASP zawiesił ich w działalności artystycznej. Niektórych z nich oskarżono o współpracę z okupantem i po wojnie sądzono na podstawie dekretu z 31 sierpnia 1944 r. Akta tych procesów znajdują się w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej.

A jak literaci

Również literaci nie zrezygnowali ze swojej pracy. Jan Parandowski miał umowę z wydawcą, na podstawie której miesięcznie dostawał 300 zł. Co miesiąc przynosił po rozdziale książki²³. Początkowo pomoc wydawnictw dla pisarzy miała charakter sporadyczny. Rozszerzyła się na wielką skalę dopiero w latach 1943–1944. Wypłacano pisarzom honoraria przypadające z rozliczeń za sprzedane egzemplarze. Autorzy lub ich spadkobiercy otrzymywali stałe zaliczki na poczet przyszłych wpływów. Taką zaliczkę pobierała córka Henryka Sienkiewicza²⁴. Inną formą pomocy było wypłacanie zaliczek przy zawieraniu umów na nowe pozycje. „Ossolineum” wypłacało honoraria za 1/3 przewidywanego w umowie nakładu, co było bardzo korzystne dla autorów. Pomocy udzielały jeszcze wydawnictwa:

„M. Arcta”, „Gebethnera i Wolffa”, „Biblioteki Polskiej”, „Naszej Księgarni”, „Księgarni Atlas”, „Świętego Wojciecha”. Samo „Ossolineum” wypłacało rocznie z tego tytułu 100–150 tys.²⁵ Dla mającego powstać po wojnie wydawnictwa „Wisła”²⁶ Zbigniew Mitzner zakontraktował około 150 rękopisów gotowych dzieł i konspektów. Autorzy otrzymywali od 5 tys. do 15 tys. zł. Ponieważ planowane wydawnictwo nie powstało po wojnie, Mitzner oddawał prace zgłaszającym się po nie autorom, nie roszcząc sobie żadnych pretensji²⁷.

Pomocy materialnej udzielały również instytucje znajdujące się pod zarządem Niemców: Rada Główna Opiekuńcza, Spółdzielnia Spożywców „Społem” czy Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego m. Warszawy²⁸. Miesięczny zasiłek z tych instytucji wynosił 150–250 zł.

Paczki, subwencje, zasiłki, własna inicjatywa, przedsiębiorczość – to wszystko zapewniało artystom egzystencję w czasie wojny. Część z tego grona zgodziła się na „współpracę” z okupantem, ponieważ nie umiała żyć bez swojej pracy lub chciała w godziwych warunkach przetrwać lata wojny.

Okupacyjne władze niemieckie prowadziły przemyślaną akcję niszczenia polskiej kultury. W latach 1939–1945 Polska straciła około 80–90 proc. zasobów archiwalnych i bibliotecznych. Okupant prowadził również fizyczną eksterminację polskiej inteligencji: lekarzy, adwokatów, profesorów, aktorów, bibliotekarzy²⁹.

¹ K. Wyka, *Życie na niby. Szkice z lat 1939–1945*, Warszawa 1959, s. 193–194.

² Rząd wysłał do Polski kilku kurierów drogą lądową i 29 drogą powietrzną. Pieniądze przesyłano w specjalnych pasach spadochroniarzy. W. Grabowski, *Delegatura Rządu Rzeczypospolitej Polskiej*, Kraków 1996, s. 50–59.

³ Pierwszy konkurs dramatyczny odbył się 22 I 1943 r. i był sponsorowany przez osobę prywatną. S. Marczak-Oborski, *Polskie życie teatralne podczas II wojny światowej*. *Kronika*, „Pamiętnik Teatralny” 1963, nr 12, s. 46.

⁴ B. Korzeniewski, *Teatr warszawski podczas okupacji*, „Pamiętnik Teatralny” 1963, nr 12, s. 116.

⁵ Z B. Korzeniewskim rozmawia M. Szejnert, *Stawa i infamia*, s. 47; M. Wyrzykowski, *Dzienniki 1938–1969*, oprac. B. Lasocka, Warszawa 1995, s. 86–87.

⁶ J. Iwaszkiewicz, *W Stawisku w czasie wojny [w:] Walka o dobra kultury 1939–1945*, red. S. Lorentz, Warszawa 1970, t. 1, s. 163–164.

⁷ J. Parandowski, *Wrześniowa noc*, Warszawa 1976, s. 56–57.

⁸ A. Trzebiński, *Pamiętnik [w:] Kwiaty z drzew zakazanych*, oprac. Z. Jastrzębski, Warszawa 1972, s. 226.

⁹ M. Przetęcka, *Zofia Kossak jaką pamiętam (wspomnienia łęczniczki) [w:] H. Pałaszewska, Zofia Kossak*, Warszawa 1990, s. 28.

¹⁰ T. Szlimowski, *Fundusz Kultury Narodowej*, „Nauka Polska na obczyźnie”, z. 3, Londyn 1961.

¹¹ Akcja była prowadzona z ramienia Ministerstwa Opieki Społecznej przez Przemysława Kowalewskiego i działacza PPS Maurycego Karniola, zaś ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przez inżyniera Mieczysława Thugutta. J. Hulewicz, *Działalność Funduszu Kultury Narodowej w dziedzinie pomocy dla kraju*, „Studia i Materiały z Dziejów Nauki Polskiej” 1968, z. 12, s. 351.

¹² Trudno jest przedstawić rozmiary akcji wysyłkowej z Ankarę, ponieważ zaginęły ankarские materiały archiwalne. Organizatorem akcji wysyłek był kierownik placówki łączności z Krajem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, adwokat warszawski, Jerzy Kurcjuś. W Ankarze sprawnie podtrzymywał łączność z placówką budapeszteńską i z krajem. *Ibidem*, s. 359.

¹³ O pracy w kawiarni „U Aktorek” wspomnienia napisały m.in.: Z. Lindorf, *Wojna – okupacja niemiecka (fragment wspomnień)*, „Pamiętnik Teatralny” 1997, nr 46, s. 522–537; *Rozmowy z panią Micią*, opisał A. Okońska i A. Grzybowski, Warszawa 1976.

¹⁴ Jedną z aktorek pracującą w tej kawiarni wspomina, że zarabiała 130 zł miesięcznie. J. Hera, *Losy aktorów w Generalnym Gubernatorstwie*, „Pamiętnik Teatralny” 1997, nr 46,

s. 353; inna pracownica kawiarni wspomina, że udziałowczynie zarabiały trzy razy więcej. *Ibidem*, s. 371.

¹⁵ ZASP zabronił aktorom występowania w jawnych teatrzykach i rewiach po ogłoszeniu rozporządzenia Hansa Franka o rejestracji artystów. Zezwolił jedynie – ze względu na ich złą sytuację materialną – na występy w kawiarniach. *Ibidem*, s. 340.

¹⁶ *Ibidem*, s. 353.

¹⁷ J. Kreczmar, *Sytuacja aktora w okupowanej Warszawie*, „Odrodzenie” 1946, nr 6/7, s. 6.

¹⁸ Janina Hera, *Losy aktorów w Generalnym Gubernatorstwie (wrzesień 1939 – 1 sierpnia 1944)*, „Pamiętnik Teatralny” 1997, nr 46, z. 1–4, s. 315–398; Janina Hera, *Dlaczego ob. Korzeniewski kłamię?*, „Zeszyty Historyczne, Paryż 1996, z. 115, s. 165–192. Akta IPN SWMW 668, Tezka Romana Niewiarowskiego, Archiwum Polski Podziemnej 1939–1956.

¹⁹ Z B. Korzeniewskim rozmawia M. Szejnert, *Sława i infamia*, s. 34.

²⁰ J. Hera, *op. cit.*, s. 355.

²¹ *Ibidem*, s. 370–371.

²² *Ibidem*, s. 356.

²³ J. Parandowski, *op. cit.*, s. 45.

²⁴ S. Pazyra, *Z dziejów książki polskiej w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1970, s. 231.

²⁵ *Ibidem*, s. 232.

²⁶ Pierwszą informację na temat akcji wydawniczej „Wisły” podała Hanna Kirchner, edytorka pamiętników Z. Nałkowskiej. Z. Nałkowska, *Dzienniki czasu wojny*, wstęp, oprac. i przypisy H. Kirchner, Warszawa 1996, s. 467–470.

²⁷ P. Mitzner, *Teatralia archiwum „Wisły”*, „Pamiętnik Teatralny” 1977, nr 26, s. 405–410.

²⁸ B. Kroll, *Rada Główna Opiekuńcza 1939–1945*, Warszawa 1985; J. Jasiński, *Z dziejów polskiej spółdzielczości spożywców podczas II wojny światowej*, Warszawa 1965; H. Pawłowicz, *Okupacyjne dzieje samorządu Warszawy*, Warszawa 1974. W Muzeum Teatralnym zachowały się dokumenty S. Jaracza i L. Schillera. W latach 1941–1943 wydział udzielał im subwencji w wysokości 75–150 zł miesięcznie. Protokoły Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego m. Warszawy, Muzeum Teatralne, D. 360 III.

²⁹ Zygmunt Wilski, *Straty osobowe teatru polskiego w okresie 1 września 1939–8 maja 1945*, „Pamiętnik Teatralny”, r. XII, z. 1–4, 1963, s. 369–376; Maria Rutowska, Edward Serwański, *Straty osobowe polskiego środowiska teatralnego w latach 1939–1945 (z problematyki martyrologii i eksterminacji inteligencji w czasie II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej w Polsce)*, „Przegląd Zachodni” 1976, nr 1, s. 6–114.



Bilet z otwarcia, zarządzeniem władz Generalnego Gubernatorstwa, Krakowskiego Teatru Powszechnego w gmachu Starego Teatru w Krakowie

NIE DAĆ SIĘ ZABIĆ

Czesław Arkuszyński urodził się (w 1924 r.) i wychował w Tomaszowie Mazowieckim. Podczas drugiej wojny światowej początkowo był świadkiem zagłady Żydów w tomaszowskim getcie i pierwszych aresztowań Polaków. W lipcu 1943 r. jako dziesięcioletni sam został aresztowany i brutalnie przesłuchiwany przez hitlerowską policję polityczną. Nikogo nie wydał. Przeżył obozy koncentracyjne w Oświęcimiu, Oranienburgu i Buchenwaldzie. W maju 1945 r. wrócił do Polski. Swoją nieopublikowaną jeszcze biografię zatytułowaną *Nie dać się zabić* napisał dla rodziny, przede wszystkim dla wnuków. Prezentujemy jej fragmenty.

„[...] W miarę rozbudowy obozu wielu więźniów z pierwszego lub pierwszych transportów, po przeżyciu ciężkiego »rekruckiego« okresu, dostało się na rozmaite funkcje. Od ich morale, od wychowania, od wiary w Boga, od własnego sumienia zależało, jak te funkcje spełniali. Jedni naśladowali swoich wychowawców z zielonymi trójkątami (bandytów, złodziei i recydywistów), inni potrafili wypełniać powierzone im funkcje w wewnętrznej administracji obozowej z osobistą godnością. Z godnością moralnego człowieka.

Z moich obserwacji życia obozowego wyniosłem również przeświadczenie, że niektórzy więźniowie, którzy w początkach obozu zachowywali się na funkcjach nagannie, zdolali w późniejszym okresie zrewidować swoje postępowanie i starali się jak gdyby nadrobić utraczone do nich w społeczeństwie obozowej zaufanie. Często wznosili się na wyżyny w niesieniu pomocy innym więźniom.

Ale byli i tacy, którzy wiedli prominentny styl życia w obozie dzięki swojej dużej wiedzy (na przykład znajomości kilku języków, wysokiej specjalizacji medycznej itp.). Inni zawdzięczali swój niezły status osobistemu sprytowi, umiejętności pozyskiwania przyjaciół, wesołemu usposobieniu, osobistej kulturze – słowem – przymiotom ludzkim ogólnie akceptowanym. Ci ostatni to – można powiedzieć – »więźniowie środka«. Nigdy nie pchali się na najwyższe obozowe funkcje. Byli zadowoleni z pozycji, która pozwalała utrzymać się przy życiu, zdobyć dodatkową miskę zupy czy porcję lub dwie chleba i margaryny. Nie dawali się zepchnąć na dno. Zawsze znajdowali pracę lekką, a zimą koniecznie pod dachem. Po apelu zawsze mieli cokolwiek do sprzedania i coś do kupienia na nieoficjalnej giełdzie pod obozową kuchnią. Chciałoby się powiedzieć, że nie byli »muzułmanami¹, ale też nie byli obozowymi prominentami w ścisłym znaczeniu tego słowa. Byli »więźniami środka«. [...] Zatem więźniowie, którzy podeszli teraz do liny, by szukać swoich krewnych lub przyjaciół w naszym transporcie, nie byli »muzułmanami«.

W pewnym momencie któryś z przybyłych więźniów krzyknął:

– Kto tu jest z Tomaszowa?!

Las rąk podniósł się do góry. W tej masie wołających nie mógł nikogo rozpoznać.

Natomiast ja rozpoznałem wołającego. Nie byłem pewien, czy się nie mylę. Podszedłem bliżej. Nie, nie myliłem się.

– Czy pan nazywa się Kujda i mieszkał pan w Tomaszowie na rogu Słonecznej i Stolarskiej? – zapytałem.

– Tak! – odpowiedział. – Ale mów mi per „ty”. Tu nie ma panów. Wszyscy jesteśmy jednacy.

Roman Eugeniusz Kujda, po prostu Roman, był starszy ode mnie o 8–10 lat. Był synem znanego w Tomaszowie krawca-kuśnierza. Tutaj był numerem 62742.

Gdy przybyłem do obozu, nie miałem jeszcze dziewiętnastu lat. Pamiętałem go świetnie z przystani Tomaszowskiego Towarzystwa Wioślarskiego, kiedy jako chłopiec przyglądałem się przed wojną meczom siatkówki, rozgrywanym właśnie na tamtejszej przystani. Jednym z graczy był Roman. Różnica wieku usztywniała mnie.

– A ty jak się nazywasz? – zapytał.

Kiedy powiedziałem mu moje nazwisko, od razu wiedział, że mieszkałem kiedyś przy ul. Słonecznej 9. Wiedział, że mam brata, i znał naszych rodziców.

– Proszę pana... przepraszam – wybąkałem – czy jest możliwe utrzymanie się przy życiu w tym obozie? Od jak dawna pan się tutaj znajduje?

Nie mogłem zrozumieć, jak można tak dobrze wyglądać w Oświęcimiu. Stąd moje pytanie o okres uwięzienia.

– Jestem tu od roku. Jak widzisz, żyję i radzę sobie. Nie pchaj się nigdy na ochotnika, chociażby wywoływali ochotników do najlepszej pracy. Maszeruj zawsze w środku kolumny, to najmniej oberwiesz. Oczy masz mieć otwarte dookoła głowy.

O tym, jak cenne były to wskazówki dla »Zuganga« (nowicjusza obozowego), mogłem się wielokrotnie przekonać w czasie pobytu w obozach koncentracyjnych.

Poprosiłem Romana o trochę wody.

Przeprosił, że się zagadał, i zaraz gdzieś pobiegł. Wkrótce wrócił, przyniósł miskę ciepłych ziółek i pół bochenka obozowego chleba oraz spory kawałek margaryny. Zapomnieliśmy o głodzie, ale pić się chciało ogromnie. Wypiliśmy z Dzidkiem ziółka i zjedliśmy trochę chleba z margaryną. Widzieliśmy, z jaką zazdrością spoglądali na naszą znajomość pozostali więźniowie z naszego transportu.

Roman poinformował nas, że jest zakwaterowany na 25 bloku.

– Jeżeli nie przerzucą was do Birkenau (obóz w Brzezince, tak zwany Auschwitz II), to łatwo mnie tam znajdziecie. Gdy będziecie czegoś potrzebowali, szukajcie mnie!

Krzyknął do nas te słowa, oddalając się jednocześnie szybko, gdyż spostrzegł nadchodzących esesmanów.

To spotkanie bardzo podniosło mnie na duchu. **Odwagi!** [...]

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Wyselekcjonowaną dwunastkę zaprowadzono na blok 19 – na *Schonungsblock* HKB (blok dla ozdrowieńców w obozowym szpitalu), aby tutaj leczyli urazy, jakich doznali podczas śledztwa na gestapo. Musiałem być dobrze poharatany na plecach, skoro zaliczono mnie do najdotkliwiej pobitych spośród tych kilkunastu setek nowo przybyłych więźniów. [...]

A więc skierowany zostałem przez obozowy personel medyczny do szpitala obozowego na blok 19, jako *Häftling* nr 131603, na leczenie urazów na tylnej części całego mojego ciała. Urazy te mogłem obejrzeć własnymi oczami tylko na ich obrzeżach. Najbardziej martwiła mnie fioletowa od krwiaków i silnie opuchnięta moszna, jak również spuchnięte jądra. Obolałe i opuchnięte od bicia pejcem stopy utrudniały normalne chodzenie. [...]

Roman często mnie odwiedzał. Nie miał prawa wstępu na teren szpitala, ale wywoływał mnie prawie codziennie do okna i celnym rzutem dostarczał mi jabłko lub cebulę, a nawet

czasem kawałek kielbasy, które to smakołyki Bóg jeden wie gdzie organizował. Z czasem powiadomił innych tomaszowian o mojej obecności w szpitalu, w wyniku czego poznałem nowych rodaków – oświęcimskich obozowiczów, którzy także przychodzili pod blok 19 nie z gołymi rękami. Wśród nich byli Gienek Piaskowski, Janek Sęk, Janek Chybowski i Lolek Czekalski.

Czułem się wręcz rozpieszczany. Najważniejsza jednak była budząca się we mnie świadomość solidarności więźniów wywodzących się z tych samych miejscowości. A może nie tylko? [...]

W końcu sierpnia rozeszła się w więźniarskim szpitalu wiadomość o mającej nastąpić nazajutrz kolejnej selekcji do gazu. Chciałem koniecznie opuścić szpital i wydostać się na lager do pracy. Nie mogłem drugi raz ryzykować. Było jednak już późne popołudnie i nie mogłem być tego dnia wypisany. Wypisów ze szpitala dokonywano zawsze przed południem dnia poprzedzającego opuszczenie szpitala. Nie miałem szansy.

W pewnej chwili przypomniałem sobie deklarację Romana, że jeżeli będę czegoś potrzebował, to mam go o tym zawiadomić. Zszedłem więc na parter bloku i przez *Pförtnera* (portiera) przywołałem do siebie Romana. Przedstawiłem mu problem. Zasepił się, bo znał procedurę wypisywania ze szpitala i wiedział, że listy zwolnień są już sporządzone i dopisanie do nich kogokolwiek nie będzie łatwe. Wykorzystał jednak swoje kontakty z różnymi funkcyjnymi więźniami i wieczorem poinformował mnie, że prawdopodobnie nazajutrz opuścić szpital.

Rzeczywiście. 27 sierpnia *Arbeitsdienst*² wyczytał mój numer i zostałem przeniesiony ze szpitala na blok nr 23 z karteczką w ręku określającą przydział pracy: *Kommando SS-Unterkunft*³. [...] Stosownie do polecenia *Arbeitsdiensta* zameldowałem się do blokowego szrajbera bloku 23 i wręczyłem mu kartkę z przydziałem komanda roboczego [...]

– Słuchaj, ja ci zmienię komando. W *SS-Unterkunft* jest wprawdzie lekka praca, ale tam nie ma co jeść. A ty musisz się odżywić. Pójdziesz do komanda *SS-Kartoffelschälerei*⁴ [...]

Staszek Kożuch, bo tak nazywał się ten *Blockschreiber*, dał mi spory kawał chleba, porcję margaryny i kawałek kielbasy oraz kubek obozowych ziótek.

Wkrótce nadeszła pora obiadu i znów dostałem miskę gorącej zupy brukwiowej z porcją dolewki, z której z przejedzenia nie mogłem już skorzystać. [...] Miałem pół dnia przed sobą i nie bardzo wiedziałem, co z sobą robić. Położyć się nie mogłem, bo w dzień było to zakazane, a zlecenia żadnej pracy nie dostałem. Ponieważ Staszek Kożuch wydał mi się jakiś przystępniejszy od sztubowego, odnalazłem go i zapytałem, czy mogę wyjść z bloku na lager odwiedzić kolegę. Zezwolił, ale przedtem spojrzął na moje parciandrewniane obuwie i wymienił mi je na mocno zniszczone pantofle, jako tako pasujące na moje stopy. Przy okazji pouczył mnie, że o tej porze nie wolno po obozie spacerować. Mam zatem maszerować bardzo szybko, co miało sprawiać wrażenie, że wykonuję jakieś polecenie funkcyjnych. Zapytany, powiedziałem, że udaję się na 25 blok do mojego krajana z Tomaszowa.

Wszedłem do czystutkiego korytarza 25 bloku. W bloku tym mieszkała obozowa śmietanka, wybrane komanda: obozowa orkiestra, kuchnia, magazyn spożywczy, *Brotabladerkommando*⁵, główna szrajbsztuba⁶, *Arbeitsdienst*, *Lagerkapo*⁷, *Lagerdolmetscher*⁸ i Bóg wie jacy jeszcze prominenci.

Pierwszego napotkanego więźnia poprosiłem o przywołanie Romana. Przywołał go głośnym krzyknięciem: Rooman! W tej samej niemal chwili ujrzałem Romka wychodzącego z jakiejś sztuby.

– A, to ty. Dobrze, że przyszedłeś. Jakie dostałeś komando?

Podziękowałem mu za wyciągnięcie mnie ze szpitala obozowego i opowiedziałem o zamianie mojego przydziału pracy przez blokowego szrajbera. Był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

– Widzisz, od początku zaczyna ci się dobrze powodzić. Tam się odżywisz, a jeszcze zorganizujesz cokolwiek do obozu. Tylko nie szarżuj! Bądź zawsze ostrożny i przytomny. Zanim coś zrobisz, zastanów się dobrze, co może z tego wyniknąć. Na razie nie spiesz się. Szukaj w komandzie przyjaciół. Za kilka dni sam się zorientujesz, co jest możliwe, a w co nie należy się pchać.

Roman uczył mnie obozowego elementarza. Ostrzegał i pouczał. Doradzał, a także zakazywał. Wierzyłem mu bezgranicznie. Był moją obozową ostoją od pierwszego do ostatniego dnia mojego pobytu w Oświęcimiu. A także i potem. Miał za sobą rok obozowego doświadczenia, co w tamtych warunkach było wiekiem.

Na 25 bloku był szajsmajstrem, czyli kiblowym. Odpowiadał także za czystość *Waschraum*⁹, schodów, korytarzy i obejścia przed blokiem. Ta „posada” bardzo mu odpowiadała. W bloku mieszkali prominentni więźniowie – ci, którzy pracowali przy żywności, a także ci najbardziej wpływowi z tytułu pełnionych funkcji.

Zorganizowanie bochenka chleba czy kostki (0,5 kg) margaryny nie było dla niego problemem. To on przecież mógł załatwić moje niezwłoczne wypisanie ze szpitala, gdy zaszła tego nagła potrzeba. A także spowodował skierowanie mnie na dobry blok z przydziałem pracy pod dachem. [...]

Nikt z naszego komanda nie wyglądał na wygłodzonego, co potwierdzał fakt oddania mużłtanom beczki obozowej zupy. Poznałem więźnia zajmującego łóżko obok mnie. Nazywał się Władysław Glapa. Miał numer 26 tysięcy z końcówką. Pochodził z Warszawy. Kiedy powiedziałem mu jak się nazywam i skąd pochodzę oświadczył, że znał moich rodziców.[...]

Nasze komando wychodziło do pracy jako pierwsze w obozie, już o trzeciej nad ranem, albowiem na szóstą musiało być przygotowane śniadanie dla wszystkich esesmanów nadzorujących obóz.

W kartoflarni SS byliśmy podzieleni na małe grupy, według przydzielanych nam zadań. Trzymałem się blisko Glapy, żeby nie popełnić jakiegoś głupstwa. Siedzieliśmy na stołkach i obieraliśmy raz kartofle, kiedy indziej buraki, marchew lub kalarepę, a nawet jabłka. Oczywiście, po kryjomu jedliśmy niektóre warzywa i jabłka.

Naszą pracę nadzorował *Vorarbeiter* Jan K. Miał nazwisko stosowne do miejsca pracy i kapuścianego fłba, jaki nosił na szyi. Był kompletnym idiotą. W czasie gdy wykonywaliśmy normę, skrobiąc nakazaną ilość warzyw do puszek po konserwach, on polewał bez przerwy wężem posadzkę, aby była zawsze czysta, i co chwilę oblewał prysznicem któregoś z więźniów. Sprawiało mu to dziką radość, gdyż śmiał się jak błązen. [...]

*Unterscharfführer*¹⁰ Paschke, pomimo że był niski, odznaczał się atletyczną budową i miał bardzo ciężką rękę. Jednym uderzeniem dłoni ścinał każdego więźnia z nóg. Ale Paschke, jako szef kuchni, przychodził do pracy dopiero około szóstej. Zanim się tu pojawił, jego pomocnicy wydawali kucharzom podstawowe artykuły, potrzebne do przygotowania śniadania, a także mięso, margarynę, fasolę, kaszę i przygotowane poprzedniego dnia przez kartoflarnię warzywa – do gotowania obiadu. Była to jedyna korzystna pora, aby zorganizować w kuchni SS bezcenne artykuły spożywcze i później w umiejętny sposób przeszmyglować je do obozu.

Ja się oczywiście w pierwszych dniach nie angażowałem w tego rodzaju organizację i spokojnie obierałem warzywa, wkładając do ust od czasu do czasu kawałek marchwi, kalarepy czy jabłka. A i to musiałem się dobrze rozejrzeć, aby nie zauważył mnie Paschke, często obserwujący z daleka pracujących więźniów.

Około południa kucharze przekazywali ukradkiem do kartoflarni beczkę ciepłej esesmańskiej zupy. Rozdelał ją Janek, podczas gdy kapo obserwował, gdzie jest i co w tym czasie robi Paschke. Nie wszyscy naraz zajmowali się jedzeniem. Janek nalewał po pięć litrowych puszek po konserwach i przekazywał zupę w różne rejony kartoflarni. Naszym zadaniem było zjedzenie jej tak szybko, jak tylko to było możliwe. Niekiedy tej zupy było tak dużo, że kto chciał, dostawał drugą porcję.

A co to była za zupa! W każdym litrze było około 60–80 g pokrojonego w kostkę mięsa, fasola, ziemniaki lub makaron, warzywa i przyprawy – słowem, w domu przed aresztowaniem takich delikatesów nie jadłem. Łyżka w niej stała pionowo! Nic więc dziwnego, że kucharze i pracownicy kartoflarni rezygnowali wieczorem z zimnej, rozgotowanej bydłęcej brukwi, jaka na nich czekała na bloku. Byłem bardzo wdzięczny Staszкови Kożuchowi, że mnie skierował do tego komanda, abym się odżywił. Wiedział, co robi.

Z czasem obrastałem w piórka. Wiedziałem, że co odważniejsi koledzy organizowali i przemycali żywność z kuchni SS do obozu. Wiedziałem, że i ja muszę zaryzykować. Chciałem koniecznie zaimponować Staszкови Kożuchowi i przynieść mu któregoś dnia jakiś zorganizowany kęsek. Ryzyko było duże, gdyż komanda pracujące w warunkach ułatwiających organizację były często przy powrocie do obozu poddawane szczegółowej rewizji. Do tej grupy komand należało też nasze.

Muszę tu wyjaśnić, co w języku obozowym nazywaliśmy organizowaniem. Otóż jeżeli któryś z więźniów zdołał zdobyć cokolwiek więcej, niż mu się to oficjalnie należało, a nie było to w żaden sposób połączone z pomniejszaniem porcji dla innych więźniów, to taką zdobycz nazywaliśmy organizowaniem. Natomiast jeżeli ktoś przywłaszczył sobie cudzą własność, na przykład zabrał koledze z paczki cebulę lub porcję margaryny – była to zwykła kradzież i spotykała się z najwyższym potępieniem obozowej społeczności, do linczu włącznie. Myślę, że słowo »organizacja« jest tu właściwe, gdyż zdobycie łupów musiało być dobrze przemyślane i zorganizowane, a także wymagało często działania zorganizowanego w gronie kilku więźniów, nie zawsze z tego samego komanda. W szczególności gdy zachodziła potrzeba przerzucenia zdobyczy na teren obozu.

Po raz pierwszy udało mi się zwędzić z kuchni spory kawałek esesmańskiej kiełbasy. Przedtem jednak upatrzyłem miejsce przechowania zdobyczy do czasu formowania komanda do odejścia do obozu. Miejszem tym był żeliwny zbiornik na wodę zawieszony pod sufitem w toalecie. Przy następnych okazjach również korzystałem z tego schowka.

Tym razem tuż przed odejściem z kuchni wyciągnąłem ze zbiornika moją kiełbasę i włożyłem ją pod koszulę, ale za pasek od spodni. Zdarzało się także, że Paschke zarządził rewizję, kiedy komando uformowało się przy kuchni. Rewizję przeprowadzał osobiście, a pomagali mu w tym esesmani z eskorty. Tego się najbardziej bałem. Ale tego dnia rewizji nie było. Należało mieć jeszcze szczęście przy głównej bramie, by sukces był pełny. Był! I tutaj nie było rewizji.

Byłem z siebie ogromnie zadowolony. Nareszcie zakozaczyłem!

Poszedłem wieczorem do Staszka i dałem mu połowę zorganizowanej kiełbasy. Był trochę zdziwiony, że tak szybko zacząłem organizować, ale z chęcią przyjął podarunek. Drugą



Oświęcim po wyzwoleniu, 1945 r. (zdjęcie archiwalne)

połówkę zamierzałem zanieść Romanowi, głównie żeby się pochwalić moim wyczynem, ale niestety apel tego dnia znacznie się przedłużył i wiedziałem, że przed gongiem na *Nachtruhe*¹¹ mogę nie zdążyć wrócić na swój blok. W tej sytuacji zrobiliśmy sobie z Glapą uroczystą kolację. Nie miało sensu pozostawianie esesmańskiej kiełbasy na drugi dzień, bo »towar był trefny«.

Myślałem przez jakiś czas, co zrobić, aby nie wpaść podczas rewizji. Bo wszak nie codziennie, ale często udawało mi się zorganizować; a to kawałek kiełbasy lub mięsa, a to kostkę margaryny lub niekiedy sporo cukru.

Myślałem i wymyśliłem patent. Otóż »trefny towar« pakowałem do płóciennego woreczka, który wiązałem na długim sznurku z przodu i z tyłu paska od spodni. Byłem przygotowany, że w razie rewizji ochoczo i bez rozkazu opuszczę spodnie na kostki nóg wraz z moją zdobyczą i pozwolę się obmacać po gaciach. Na cukier miałem zawsze przy sobie przygotowaną jakąś długą skarpetę, którą po napełnieniu przewiązywałem jak pęta serdelków poprzecznie sznurkiem i w »opatentowany« sposób przenosiłem na kroczu do obozu.

Żyłem znacznie powyżej średniej.

Na giełdzie przed kuchnią kupiłem sobie dwie porządne koszule, pulower, a także rzecz najważniejszą – solidne wojskowe, saperskie buty. Były bardzo ważne, gdyż posadzka w kartoflarni była zawsze pełna wody rozlewanej przez ogłupiałego Janka. Miałem też porządną rękawicę i pachnące mydło, przemycane na nasz obóz z komanda »Kanada«.¹²

Wiele przedmiotów pochodzących z »Kanady« było przedmiotem handlu na obozowej giełdzie. Handel kwitł zawsze bezpośrednio po apelu. Pomiedzy apelem a ciszą nocną wolno było więźniom spacerować po obozowych alejkach. Wykorzystywaliśmy ten czas na odwiedzanie kolegów na innych blokach, a także na handel, czym się dało, na obozowej giełdzie. Na giełdzie należało obserwować więźniów. Jeżeli któryś dwa lub trzy razy wracał tą samą drogą na krótkich odcinkach, znaczyło, że ma coś przy sobie do przehandlowania. Miernikiem wartości była w zasadzie margaryna. Coś mogło kosztować porcję margaryny, dwie, pół kostki, kość, dwie lub trzy kości albo cały karton, czyli 16 kości (8 kg!). [...]



Któregoś dnia była wielka wsypa w brygadzie kilkunastu kelnerów, należących do naszego komanda. Chłopaki utrzymywali kontakty z pięknymi dziewczętami – Żydówkami ze Słowacji, które na łańce, obok kuchni, rozwieszały na sznurach esesmańską bieliznę po praniu. Trzeba bowiem wiedzieć, że *SS-Unterkunft* znajdował się niedaleko od kuchni SS i tam prawdopodobnie prana była bielizna esesmanów. Chłopaki zaopatrywali dziewczyny w żywność zorganizowaną w kuchni, one obdarzały ich uśmiechem, a niekiedy całusem, jeśli była ku temu bezpieczna okazja. Co odważniejsi kochali się z dziewczynami pod sceną, która znajdowała się na końcu długiej sali jadalnej dla esesmanów.

Do kartoflarni wpadł wściekły szef kuchni Paschke.

– *Wer spricht hier deutsch?!³* – krzyknął.

Nie wiedziałem, co zaszło, że Paschke szuka chłopaków znających niemiecki. Pamiętałem przestrogę Romana, aby nigdy nie zgłaszać się na ochotnika. Ale siedzący obok Glapa niemal wypchnął mnie do przodu.

– Zgłaszaj się, Czesiek, natychmiast! – rzekł niemal rozkazującym tonem.

Wyskoczyłem ze stołka, stanąłem przed Paschkem prosto jak świeca i zameldowałem jednym tchem: *Häftling hunderteinunddreissigsechshundertdrei meldet gehorsam: Ich spreche deutsch⁴*.

Wybrał nas dziesięciu, bo tylu się zgłosiło. Potrzebował dwunastu, gdyż chciał wymienić całą brygadę kelnerską. Był zmuszony pozostawić dwóch naszych poprzedników na swoim miejscu.

W taki to sposób zmieniłem miejsce pracy w obrębie tego samego komanda i awansowałem ze skrobacza ziemniaków na kelnera obsługującego załogę SS największego obozu koncentracyjnego w Europie – *Konzentrationslager Auschwitz*.

Ja należałem do tych szaraków, z cienia, ale nie marginesu obozowego życia. Mój relatywnie wysoki numer obozowy (takich jak ja starzy więźniowie nazywali z pogardą »milionowcami«), a także młody wiek ustawiał mnie najczęściej w cieniu wielkich obozowych wydarzeń, ale w ich bezpośredniej bliskości, pozwalającej mi dobrze obserwować to, co działo się wokół. [...]

Zaledwie dwa dni pracowałem na dużej, ogólnej sali, gdzie szeregowi esesmani zjadali swój przydziałowy *Eintopf*. Sami stali w kolejce do okienka, gdzie nasi koledzy wydawali

im obiad, po czym naszym zadaniem było zbieranie brudnych porcelanowych misek ze stołów i odnoszenie ich do *Spülküche* (zmywalni). Po dwóch dniach awansowałem powtórnie. Paschke przeniósł mnie na *Führerheim*, gdzie obsługiwałem już, na znacznie mniejszej i ładniejszej sali, oficerów SS, a także uprawnionych do korzystania z tej sali członków *Politische Abteilung*. Docenił moją niezłą znajomość języka niemieckiego.

O ile szeregowi esesmani »płacili« za *Eintopf* bonem, wycinanym z miesięcznego karntu, o tyle »*Herrenvolk*« z *Führerheim* mógł płacić bonami lub prawdziwymi niemieckimi markami. Za marki goście *Führerheim* mogli kupować również w kantine piwo, wódkę, papierosy, czekoladę, a także różne produkty garmazeryjne i dania kuchni gorącej à la carte. Inna była natomiast technika obsługi gości uprzywilejowanych. *Vorarbeiterem* kelnerów był Stanisław Witek, inteligentny chłopak o niskim numerze obozowym. Należał do czwórki więźniów pracujących w *Führerheim*.

Aneksem do tej sali była kantyna SS, oddzielona od sali długim, w kształcie leżącego prostokąta, oknem do wydawania zamówionych produktów.

Czterech kelnerów stało na baczność pod ścianą w rejonie drzwi wejściowych. Ze względu na to, że każdy z nas unikał obsługiwania oprawców z *Politische Abteilung*, *Vorarbeiter* Witek zarządził wybór losowy. Wchodzących gości miał witać pierwszy z brzegu kelner, bez względu na to, kim byli, i obsługiwać ich do końca pobytu w kasynie.

Od gości odbieraliśmy płaszcze, jeżeli w nich przychodzili, wieszaliśmy je na wieszaku, a następnie meldowaliśmy naszą gotowość do obsługi. W drodze do wieszaka opróżnialiśmy kieszenie płaszczy panów oficerów z ewentualnego bilonu, który był nam bardzo potrzebny. Takiej operacji nie ryzykowaliśmy nigdy, gdy właścicielem płaszcza był esesman z politycznego oddziału. [...]

Pomimo zastrzonego rygoru w obozie, nikt nie rezygnował z organizowania prowiantów, do której to czynności już przywykliśmy. Ja nawet moją organizację znów udoskonaliłem. Otóż na bloku 3 zakwaterowane było komando fryzjerów SS. W komandzie tym pracowało dwóch fachowców z Tomaszowa, mianowicie Leon (Lolek) Czekalski, aresztowany w Warszawie i przywieziony do obozu pierwszym warszawskim transportem, oraz nieco starszy od niego wiekiem, a młodszy obozowym stażem Bogdan Chęciński, nr 12 tysięcy z końcówką. Podoficer SS kierujący zakładem fryzjerskim dla esesmanów, szef moich kolegów, był za leniwy, aby przychodzić do kuchni SS na obiad. Wysyłał natomiast codziennie po ten obiad z menażką Lolka. Lolek brał zawsze ze sobą zwój brudnej bielizny fryzjerskiej, niby do pralni. Ustaliłem z Lolkiem miejsce pod sceną, wśród rozmaitych rupieci-rekwizytów teatralnych, w którym, jeśli nie będzie przeszkód, pozostawię poranną zdobycz, a jego zadaniem będzie przetransportowanie organizacji do obozu.

Niewłócznie po przyjściu do pracy nurkowałem do wysokiej skrzyni z cukrem i zagarniałem wiaderko po marmoladzie (około 8 litrów) cukru, który melinowałem pod sceną. Czasami było to kilka kostek margaryny. Połowę zdobyczy odbierałem od Lolka w obozie. Spod sceny wynosił towar w woreczku, zawiniętym w bieliznę fryzjerską, a do obozu przewoził wózkami na pneumatycznych kołach wraz z bielizną do prania. Towar znajdował się w kołach za kołpakami.

Warto tutaj dodać, że Lolek, jako wieloletni więzień obozu i z racji wykonywanego w obozie zawodu, znał niemal wszystkich esesmanów. A na pewno obozową »szarżę«. Dlatego też powołano go po wojnie na świadka w procesie załogi SS z KL Auschwitz do Frankfurtu nad Menem. Urządził tam wesole widowisko, gdyż rozpoznawał sądzonych od tyłu, dotykając jedynie ich głów.

W tym okresie byłem w obozie »milionowcem« – milionerem. Nosilem jedwabne koszulki, a saperki zamieniłem na eleganckie pantofle. [...]"

[Za wymuszone przyjęcie napiwku od pijanego oficera Lachmanna autor został przedstawiony do raportu karnego].

„[...] Staszek-Kapo znał moje „starcie” z Lachmannem; miał też polecenie przedstawienia mnie do karnego raportu. Pogadał ze Staszkiem Kozuchem, a ten odprowadził mnie po apelu do ambulatorium w Krankenbau na 28 blok. Chorem kar chłosty nie wymierzano. Polski lekarz zdecydował o pozostawieniu mnie w szpitalu. [...]

W godzinach popołudniowych sanitariusz zaprowadził mnie na blok 20 (zakaźnie chorych) i tam ulokowano mnie na szubie nr 2 na środkowym łóżku pod ścianą, po prawej stronie sali.[...]”

[W szpitalu Czesław Arkuszyński zachorował na tyfus.]

„Pod koniec grudnia byłem już w niezłej kondycji, ale nikt mnie ze szpitala na lager nie wyganiał, a mnie – więźniowi niewiele potrzebującemu do szczęścia, było wtedy w szpitalu dobrze. Wszak nadchodziła zima, której każdy pracujący na powietrzu bardzo się obawiał. [...] Bardzo mi pomagało to moje usposobienie. Wiara, że można ten obóz naprawdę przeżyć, aby się tylko nie załamywać, nawet w najbardziej dramatycznych chwilach. [...] Przy okazji wyjaśnię, że mimo ewidentnego tyfusu, na mojej prawdziwej karcie choroby doktor Fejkiel kazał napisać diagnozę: *Beobachtung* (Obserwacja). Chodziło chyba o to, aby medyczna służba SS nie wyleczyła mnie przedwcześnie za pomocą szpili z fenolem, aplikowanej bezpośrednio w serce. [...]

Obawiałem się, że wkrótce zostanę wypisany na lager i dostanę się Bóg wie do jakiego komanda. Każdy bał się pracy zimą pod gołym niebem. Nie mieliśmy przecież swetrów ani ciepłej bielizny. Samo stanie, niekiedy przez kilka godzin, na codziennych wieczorowych apelach narażało więźniów na odmrożenia, a niekiedy także na zapalenie płuc.

Nic więc dziwnego, że z ogromną radością przyjąłem od Janusza Młynarskiego wiadomość, że w styczniu będzie zorganizowany kurs dla sanitariuszy, a on porozmawia z doktorem Fejkiem, aby mnie na ten kurs zapisać. [...]

Uczyłem się starannie, gdyż chciałem ten kurs ukończyć pomyślnie, a zapowiedziano końcowe sprawdzenie wiadomości. Od dobrych wyników zależała moja oświęcimska przyszłość. [...]

Pod koniec lutego 1944 r. zostałem przydzielony do pracy na oddziale chirurgicznym, to jest na 21 blok. Zameldowałem się u blokowego, którym był w tym czasie Stanisław Oszacki (25474) – człowiek niezwykle pogodny i spokojny. Był synem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, aresztowanego w listopadzie 1939 r. podstępnie na polecenie gubernatora Franka w grupie 40 polskich naukowców i osadzonego w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu koło Berlina.

Blokowy przydzielił mnie na pierwsze piętro do współpracy ze starym niemieckim komunistą Franzem, który za udział w wojnie domowej w Hiszpanii w 1936 r. po stronie komunistów odsadywał swoje dożycie w obozach koncentracyjnych. Franz cieszył się autorytetem u pozostałych *Pflegerów*¹⁵, chociażby z tytułu wieloletniego pobytu w obozach, ale także za spore umiejętności i wesołe usposobienie. [...]

[Zadaniem sanitariuszy było przygotowanie segmentu sali szpitalnej na przyjęcie Żydów z węgierskiego getta, którzy wymagali zabiegów chirurgicznych.]

„Blokowy i lekarze wymagali od nas domycia tych Żydów i doprowadzenia ich korpusów do ludzkiego wyglądu. Było to bardzo trudne zadanie. Od jego wykonania, a także od pomalowania łózek świeżą białą farbą, zależało przeniesienie mnie do innej, lżejszej pracy.

Wyprowadzaliśmy zatem z Franzem po trzech Żydów do *Waschraumu* i tam za pomocą ryżowych szczotek myliśmy ich głowy z brudu i wszawicy. Jednocześnie obmywaliśmy rivano-

lem ich odleżyny i likwidowaliśmy zgniliznę pod siennikami. Franz zdobył gdzieś farbę i już wspólnie z naszymi pacjentami pomalowaliście pięknie ich łóżka. W nagrodę dostawaliśmy od Staszka Oszackiego dodatkowe wiadro brukwianej zupy, którą dokarmialiśmy naszych podopiecznych.

W połowie kwietnia zameldowałem blokowemu wykonanie zleconego mi zadania i poprosiłem o przeniesienie mnie do lepszej pracy. Oszacki lubił mnie, i chociaż z drwiną przyjął moją informację o przepracowaniu się, to jednak przeniósł mnie do pracy w *Zahnstation*¹⁶, kierowanej przez doktora Janusza Krzywickiego (74593). W tym gabinecie dentystrycznym, mieszczącym się po prawej stronie na końcu korytarza na parterze bloku 21, poza doktorem Krzywickim pracował doktor Roman Szuszkiewicz (25122) i w sąsiednim pokoju Jerzy Budny (76897) – technik dentystryczny. Ja utrzymywałem w obydwu pomieszczeniach czystość, myłem i sterylizowałem narzędzia, a także rozrabiałem na szkiełku fleczer i porcelankę, potrzebne do łatania dziur w zębach. [...] Bardzo mi się podobała praca u dentystów. Było czysto i ciepło i nigdy nie byłem głodny.

Długi korytarz bloku 21 był przed wejściem do gabinetu dentystrycznego przedzielony drewnianą ścianką; w ten sposób powstała poczekalnia przed gabinetem, odizolowana od pozostałej części bloku. Miało to dobre strony, zwłaszcza wtedy, gdy do lekarzy dentystrów doprowadzane były więźniarki z *Gärtnerei Rajsko*¹⁷. Można było wtedy poplirtować z dziewczynkami, a także dostać buziaka. Taka gratka trafiła mi się kiedyś, gdy w grupie kobiet rozpoznałem Jankę Matuszczak, dziewczynę, która wraz z siostrą Zofią przebywała razem ze mną w piwnicy gestapo w Tomaszowie. Były wtedy skatowane podobnie jak ja.

Janka była bardzo ładna i minuta spędzona z nią za parawanem u Budnego długo pozostawała w mojej pamięci. [...]

Dwa wydarzenia zadecydowały o opuszczeniu przeze mnie *Zahnstation*. Pod koniec maja uciekł z obozu Zbigniew Kaczorowski (125727). [...]

Polityczny oddział nakazał przeniesienie Mietka Ociepki do innego obozu, gdyż podejrzewano, że Mietek wiedział o przygotowywanej przez Zbyszka ucieczce. Mietek pochodził z Poznania. Równocześnie z nieudaną ucieczką Zbyszka miało miejsce inne wydarzenie.

Do obozu został przywieziony chłopiec w moim wieku. Nazywał się Koziarowski lub Kozierowski (Zdzisław?). Był kulawy na jedną nogę. Pochodził z Tarnowa i był synem przyjaciół doktora Szuszkiewicza. Doktor Szuszkiewicz postanowił zaopiekować się nim w obozie. Zwrócił się do mnie z propozycją, abym za cenę załatwienia mi innej dobrej pracy na bloku zwolnił miejsce dla przybysza w stacji dentystrycznej. Chciał go, jako inwalidę, mieć blisko siebie. Bez słowa sprzeciwu zgodziłem się. [...]

Sztuba 6 na 21 bloku była salą kooperacyjną – aseptyczną. Leczeni tutaj byli chorzy po zabiegach operacyjnych zarówno kostnych, jak i w zakresie chirurgii miękkiej. [...] Po wykonaniu czynności porządkowych rozdawałem chorym rano po pół litra ziółek, na obiad po misce zupy, a wieczorem znów ziółka, 35 dag czarnego, gliniastego chleba i 4 dag margaryny. Niekiedy także śmierzdzący, rozkładający się topiony serek, tak zwany przez nas *Schmelzkäse*, albo łyżkę buraczanej marmolady.

Ale nasza sztuba miała szczególne przywileje. Leżeli przecież na niej chorzy bezpośrednio po operacjach, po narkozach. Każdy z nich, przynajmniej w pierwszym dniu po operacji, dostawał tak zwaną dietę. Zamiast czarnego chleba białą pszenną bułkę. A na obiad kaszkę mannę rozgotowaną w *Diätküche*¹⁸ w rozcieńczonym mleku. Dla chorych na nerki była

jeszcze tak zwana *Salzlosediät*, czyli zupa kartoflana, bezsolna. Po osoleniu smakowała znakomicie!

Lekarze świadomie przedłużali chorym dietetyczne racje żywnościowe, gdyż były one nie tylko smaczne, ale i bardziej odżywcze. Przy okazji i nam *Pflegerom*, i lekarzom dostawaty się te dobre kąski, gdyż koledzy kucharze, gotujący dietę na 28 bloku, zawsze dawali na blok więcej, niż się należało.

Z czasem też rozwinąłem i tutaj obozową »organizację«. Nawiązałem mianowicie kontakt ze starym oświęcimskim więźniem – Kazkiem Szelestem, który pracował w głównej kuchni. Kazek przynosił mi codziennie różne »surowce«, jak na przykład kartofle, warzywa, cebulę, kasze, makarony, a także często kawał jakiegoś mięsa. Ja dysponowałem elektryczną kuchenką (kocherem) potrzebną mi do sterylizowania strzykawek i igieł. Na kuchence tej gotowałem niekiedy całe wiadro doskonałej zupy, którą dokarmiłem chorych i siebie. Kazek wcale nie codziennie przychodził wieczorem i zjadał pół miski tej zupy, jakby chciał tylko sprawdzić, czy umiem gotować. To też był wspnianały okres obozowej organizacji! [...]

W ciągu 15 miesięcy nie pracowałem ani jednego dnia w komandach, gdzie więźniowie masowo ginęli z wycieńczenia lub byli zabijani przez kapo i SS. [...]

[Obozowa „sielanka” Czesława Arkuszyńskiego skończyła się wraz z opuszczeniem obozu w Oświęcimiu. Przeżył straszliwy głód w filialnym obozie KL Buchenwald – Wansleben am See – i czterdziestogodzinny „marsz śmierci” z Wansleben do Hindorf, który przeżyło 900 z 2000 więźniów. I w tych sytuacjach ratowała go pomoc jego niezawodnego przyjaciela Romana Kujdy.]

¹ Muzułman – tym określeniem nazywano więźnia, który stracił wszelką odporność psychiczną i wiarę w możliwość przeżycia obozu. Wychudzony, bez sił fizycznych, nie był w stanie myśleć o czymkolwiek. Poddał się.

² Funkcyjny więzień, decydujący o przydziale pracy.

³ Magazyny zaopatrujące esesmanów w bieliznę, mundury, swetry, buty itp.

⁴ Kartoflarnia przy kuchni SS.

⁵ Komando rozwożące chleb i zajmujące się jego magazynowaniem.

⁶ Więźniowie pracujący w głównej kancelarii obozu na 24 bloku.

⁷ Szef wszystkich kapo, nadzorców komand roboczych.

⁸ Tłumacz obozowy.

⁹ Pomieszczenie z betonowym korytem do mycia się – blokowa umywalnia.

¹⁰ Młodszy sierżant (plutonowy?).

¹¹ Cisza nocna.

¹² Komando w Birkenau, zlokalizowane obok komór gazowych i krematorium, gdzie sortowano rzeczy zagrabione Żydom przed ich zagazowaniem. Sortowano, pakowano i wysyłano w głąb Rzeszy Niemieckiej.

¹³ Kto tu mówi po niemiecku?!

¹⁴ Więzień 131603 melduje posłusznie: mówię po niemiecku.

¹⁵ Sanitariuszy, pielęgniarzy.

¹⁶ Gabinet stomatologiczny.

¹⁷ Gospodarstwo ogrodnicze, gdzie pracowały więźniarki.

¹⁸ Kuchnia dietetyczna; mieściła się na 28 bloku.

POLECENIE UŚMIERCENIA ZASTRZYKIEM

Zapis morderstwa popełnionego w siedzibie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Opocznie 10 I 1947 r. na osobie Jana Szulca, pseudonim „Lisek”, członka poakowskiego oddziału „Upiora” Jana Nowakowskiego¹.

9 stycznia 1947 r. (wczesne godziny ranne)

Do rąk szefa UB w Opocznie kpt. Antoniego Wrocławskiego trafił meldunek o treści: „U gospodarza Józefa Psuta, zamieszkałego we wsi Wola Wiaderna, gmina Golesze, pow. Piotrków Trybunalski, kwateruje banda „Upiora”. Po porozumieniu z jednostką wojskową, przebywającą w Opocznie jako grupa ochrony przed wyborami, połączone siły UB i wojska wyjechały w miejsce wskazane przez informatora.

9 stycznia 1947 r., około godz. 7.00

W Woli Wiadernerj nad Pilicą UB i wojsko okrążyły gospodarstwo Jana² Psuty. W strzelaninie ranni zostali porucznik WP i Jan Szulc „Lisek”, lat 21, członek oddziału „Upiora” – Jana Nowakowskiego. Brak danych o losach trzech innych partyzantów: „Brzozy”, „Cygana” i „Tarzana”, zakwaterowanych u gospodarza Stanisława Rudzińskiego.

Stan zdrowia „Liska” – bardzo ciężki. Kilka godzin później przesłuchujący go oficer śledczy PUBP w Opocznie naliczy w jego ciele... 11 kul. Leżącego na ziemi rannego i bosego pozostawiono na mrozie przez półtorej godziny, [...] „co spowodowało silne odmrożenie u Szulca”.

9 stycznia 1947 r., około godz. 10.00

Koniec akcji. Powrót wojska i UB do Opoczna. Ranny „Lisek” przewieziony zostaje do siedziby miejscowego PUBP.

9 stycznia 1947 r. (godziny popołudniowe i nocne)

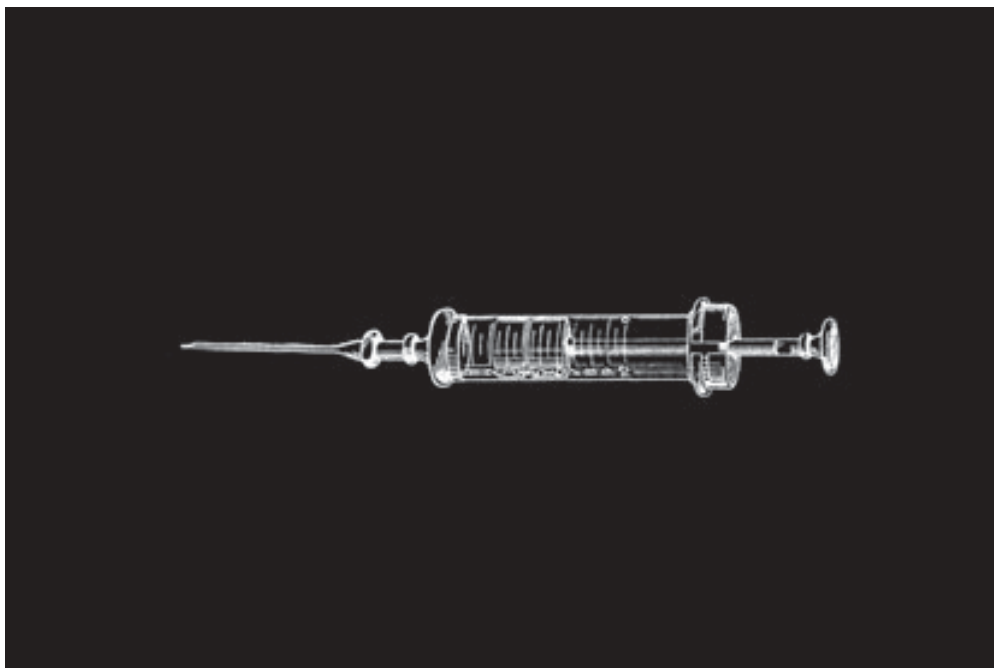
Trwa przesłuchiwanie „Liska”.

Ppor. Tadeusz Kleczyk, zastępca szefa PUBP w Opocznie:

„Szulc był przesłuchiwany przez funkcj[onariusza] PUBP [Jana] Kusztala. Szulc dał bliższe dane o bandzie, do której należał. Szulc mówił półprzytomnie”.

Por. Jan Kusztal, kierownik referatu III PUBP w Opocznie:

„Jednocześnie nadmieniam, że rannego Szulca Jana sam przesłuchiwałem w nocy, mimo że Szulc był b[ardzo] ciężko ranny, gdyż został ugodzony 11 kulami, leżącego i tak przesłuchiwałem, chcąc się od niego dowiedzieć o więcej bandytach [sic!], gdzie przebywają i jakie mają uzbrojenie” [...]



10 stycznia 1947 r. (około godz. 2.00)

Por. J. Kusztal:

– „Przed odejściem do domu, t[oj] i[est] już po przesłuchaniu Szulca, zameldowałem z[astęp]cy szefa PUBP, obecnemu szefowi ppor. Kleczykowi, że ranny już słabo odpowiada i źle się czuje z powodu dużego upływu krwi [...] Przed samym moim odejściem z pokoju pozostał Szulc już nieprzytomny, a w następnym pokoju przy otwartych drzwiach siedział ppor. Kleczyk, por. Pluta Aleksy z WUBP i por. Stachlewski [Marian] z WUBP w Łodzi. [...] Wychodząc z PUBP do domu na kolację, w bramie wejściowej spotkałem się z lekarzem PUBP Melnykiem Anatolem, który szedł do urzędu (godzina była druga w nocy)”.

Kpt. Aleksy Pluta, kierownik Szkoły WUBP w Łodzi, delegowany do Opoczna w związku z wyborami:

„[...] Szulc w PUBP rozmawiał już na w półprzytomnie. Szefowi PUBP Wrocławskiemu zależało jednak, żeby Szulc był przesłuchany, zanim zemrze. Więc zastępca szefa Kleczyk powiadomił lekarza ówczesnego PUBP Melnyka, by ten przybył do urzędu i wstrzyknął zastrzyk z morfiny Szulcowi „[...]”

Ppor. T[adeusz] Kleczyk, zastępca szefa PUBP w Opocznie:

„Pragnąc uzyskać chociaż trochę większe rozjaśnienie umysłu Szulca, po omówieniu z kpt. Wrocławskim, wezwałem lekarza PUBP, Melnyka, któremu poleciłem dać Szulcowi zastrzyk morfiny, licząc się z tym, że albo Szulc będzie w stanie choć trochę zeznawać, albo też umrze i nie będzie potrzeby odstawiać go do szpitala, co w czasie akcji wyborczej było niewskazane politycznie, gdyż po mieście mogłyby później krążyć wersje kompromitujące dla urzędu, jak i dla WP. Polecenie to dałem Melnykowi, w porozumieniu również i[z] przedstawicielami WUBP, delegowanymi na okres wyborczy do Opoczna. Melnyk polecenie wykonał, w rezultacie czego Szulc odzyskał przytomność, ale już na bardzo krótko, i zmarł tegoż wieczora”.

Anatol Melnyk, lekarz PUBP w Opocznie:

[...] „podczas swojej pracy jako lekarz w PUBP w Opocznie otrzymałem polecenie uśmiercenia zastrzykiem jednego członka bandy NSZ³ od z[astęp]cy szefa Kleczyka Tadeusza, ponieważ ten był już kilkakrotnie ranny i z tego powodu musiałby być wysłany do szpitala, czego obawiał się zastępca szefa, żeby nie zbiegł i w związku z tym wydał mi takie polecenie, a ja wykonałem” [...]

Kpt. Aleksy Pluta:

– „Melnyk wstrzyknął zastrzyk Szulcowi, którenże [tak w tekście] odzyskał większą przytomność, iż w tym czasie został przesłuchany przez ref[erenta] Kusztala, z wynikami pozytywnymi dla BP [...] Poza tym zaznaczam, że o ratunku Szulca nie było już mowy dlatego, że gdy go przywieziono do PUBP, to już był konający i tym bardziej liczyć się trzeba było z tym, że stało się to w przededniu wyborów”.

10 stycznia 1947 r., około 3.00 w nocy

Śmierć Jana Szulca „Liska”

Por. J. Kusztal:

– „Po zjedzeniu kolacji wróciłem z powrotem do PUBP i już zastałem nieżywego Szulca. Na kolacji byłem około godziny. Po przyjeździe do pokoju swojego, w którym urzędowałem, leżało ciało Szulca na podłodze w takiej pozycji, jak go przedtem zostawiłem. Natomiast w następnym pokoju, przy otwartych drzwiach, przy stole siedzieli por. Kleczyk, por. Stachlewski, por. Pluta i lekarz Melnyk Anatol. Po chwili otrzymałem rozkaz, aby ciało Szulca wynieść do osobnej celi, więc zawałem dwóch Niemców, którzy ciało Szulca wynieśli. Na drugi dzień, jak mi wiadomo, ciało Szulca zostało pochowane przez PUBP w Opocznie⁴. [...] Jaką prowadzili rozmowę między sobą w[yżej] w[ymienieni], tego nie słyszałem, jedynie widziałem, że byli zainteresowani mapą, to jest planem przedwyborczym”⁵.

Trzy miesiące po opisanym zdarzeniu ppor. T[adeusz] Kleczyk awansował na stanowisko szefa PUBP w Opocznie; pół roku po śmierci Jana Szulca otrzymał stopień porucznika. W latach 1947–1956 pracował kolejno na stanowiskach między innymi: szefa PUBP w Opocznie (27 kwietnia 1947 [r.] – 9 kwietnia 1949 r.), szefa PUBP w Kętrzynie (14 stycznia–12 maja 1950 r.), Naczelnika Wydziału I i III WUBP w Olsztynie (13 maja 1950 [r.] – 5 marca 1952 r.), Naczelnika Wydziałów III i IV WUBP we Wrocławiu (6 marca 1952 [r.] – 15 kwietnia 1955 [r.]). Z dniem 31 stycznia 1956 r. zwolniony ze służby w stopniu majora. Przez szereg lat pracował w Związku Łowieckim i jako ławnik w Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu. Zmarł 8 stycznia 1990 r. we Wrocławiu w wieku 70 lat.

¹ Tekst opracowano na podstawie akt osobowych funkcjonariusza UB, Tadeusza Kleczyka, sygn. IPN Wr 059/3368, Oddziałowe Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN we Wrocławiu.

² Tak w tekście, chodzi o Józefa Psutę.

³ W rzeczywistości „Lisek” był członkiem oddziału poakowskiego.

⁴ Ciało wydano rodzinie kilka miesięcy później.

⁵ W październiku 1948 r. Wydział do spraw Funkcjonariuszy WUBP w Łodzi wszczął postępowanie wyjaśniające w sprawie przeciwko Tadeuszowi Kleczykowi, podejrzanemu o nadużycie władzy, to jest o to że „[...] W styczniu 1947 r. polecił byłemu lekarzowi PUBP Melnykowi Anatonowi, by ten dał zastrzyk postrzelonemu bandycie Szulcowi Janowi, który miał spowodować śmierć ww.” Postanowieniem z 9 października 1948 r. kpt. Jan Brudzyński, naczelnik Wydziału do spraw Funkcjonariuszy, złożył wniosek o „umorzenie śledztwa”. Wniosek został zaakceptowany przez mjr. Zdzisława Mroza, szefa WUBP w Łodzi.

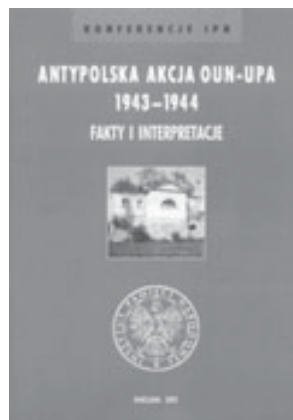
K S I A Ź K I I P N

Pierwsza w serii „Słowniki” książka jest zapisem życiorysów ludzi, którzy nie pogodzili się z powojenną rzeczywistością i w najtrudniejszych czasach prowadzili walkę o niepodległą Polskę. Autorami biogramów są znawcy powojennej historii Polski, którym udało się dotrzeć do skrywanych w okresie PRL dokumentów i świadectw. W przygotowaniu kolejny tom.



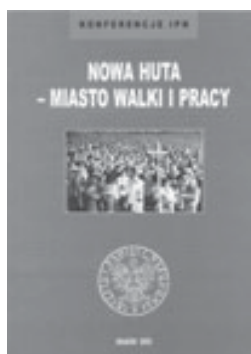
(cena: 40,00 zł)

W nowym tomie z serii „Konferencje IPN” prezentujemy materiały z odbytej w maju 2001 r. w Lublinie konferencji „Antypolska akcja OUN-UPA w latach 1943-1944”. Autorzy omawiają przebieg antypolskiej akcji OUN-UPA na Wołyniu oraz w Galicji Wschodniej, a także sposób jej przedstawiania w literaturze naukowej i podręcznikach szkolnych.



(nakład wyczerpany)

Kolejny tom serii „Konferencje IPN” jest poświęcony Nowej Hucie, która miała być wzorcowym, komunistycznym miastem zamieszkanym przez ludzi szczęśliwych, z poświęceniem budujących kombinat i nowy system, lecz stała się bastionem antykomunistycznego oporu. Przez kilkadziesiąt lat ścierały się tu dwa światy: partyjnej władzy, kłamstwa, ideologicznej presji oraz wierności przekonania i sumienia, godności, uczciwości, patriotyzmu i solidarności.



Publikacja prezentuje wyniki badań naukowych nad zbrodniami popełnionymi na polskich Żydach w Jedwabnem, Radziłowie i innych miejscowościach Łomżyńskiego i Białostockiego latem 1941 r. Tom pierwszy zawiera studia, które przedstawiają te wydarzenia na szerokim tle historycznym. W tomie drugim opublikowano dokumenty polskie, sowieckie i niemieckie, relacje uczestników wydarzeń, raporty wojskowe, świadectwa ocalałych Żydów oraz akta śledztw i procesów karnych w sprawie zbrodni w Jedwabnem i Radziłowie.

(cena: t. I/II 95,00 zł)



■ **„Podziemie zbrojne na Lubelszczyźnie wobec dwóch totalitaryzmów 1939–1956”**
Tom poświęcony jest losom pokolenia konspiratorów na Lubelszczyźnie. Autorzy tekstów analizują metody działania i szanse podziemia zbrojnego lat 1939–1956. Stawiają tezę, że konspiracja antykomunistyczna była kontynuacją konspiracji antyhitlerowskiej. Celem jednej i drugiej była niepodległa i demokratyczna Polska. (nakład wyczerpany)

■ **„Ukraińcy na zachodnich i północnych ziemiach Polski 1947–1957”**
W serii „Monografie” publikowane są książki poświęcone najnowszej historii Polski, opisujące losy obywateli polskich w latach 1939–1989. Pierwszy tom serii prezentuje politykę władz Polski Ludowej wobec Ukraińców – od akcji „Wista” (1947) po utworzenie Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (1957). Opisuje trudne adaptowanie się Ukraińców na terenach, na które zostali przesiedleni, i ich uparte dążenie do powrotu. (nakład wyczerpany)

■ **„Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 r.”**
Obóz pracy w Świętochłowicach (luty–listopad 1945 r.), założony w barakach po filii obozu oświęcimskiego Eintrachthütte, przeznaczony był dla „zdradźców narodu polskiego”, „zbrodniarzy faszystowsko-hitlerowskich” i „wrogich elementów”. Stał się miejscem odosobnienia przede wszystkim dla Ślązaków, których jedyną winą było wpisanie ich podczas okupacji na niemiecką listę narodowościową. Tom jest pierwszym wyborem dokumentów ukazujących funkcjonowanie obozów pracy w powojennej Polsce. (nakład wyczerpany)

■ **„Poznański Czerwiec 1956”**
Kolejny tom serii „Konferencje IPN” jest poświęcony poznańskiemu Czerwcowi 1956 r. Autorzy tekstów analizują pomijane dotychczas wątki, jak sytuacja w więzieniach, reakcje społeczeństwa polskiego na wydarzenia w Poznaniu oraz komentarze prasy krajowej i zagranicznej. Ich ustalenia potwierdzają tezę, że poznański Czerwiec był początkiem walki o demokratyzację życia w Polsce. (cena: 15,00 zł)

W serii „Monografie” publikujemy książkę Grzegorza Jakubowskiego (1954–2001), archiwisty i historyka, który od września 2000 r. do śmierci piastował funkcję dyrektora Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN. Książka ukazuje proces odbudowy i organizacji systemu sądowego w powojennej Polsce. Przedstawia działania władz zmierzające do podporządkowania wymiaru sprawiedliwości potrzebom bieżącej polityki i starania prawników o zachowanie jego niezawisłości.

(cena: 35,00 zł)

„Pamięć i Sprawiedliwość”

Pismo naukowe, ukazujące się w cyklu półrocznym; prezentuje wyniki badań nad zbrodniami popełnionymi na obywatelach polskich przez III Rzeszę i Związek Radziecki w czasie drugiej wojny światowej oraz nad systemem komunistycznym w Polsce. Działy: *Dyskusje, Studia, Dokumenty i relacje, Recenzje.*



Publikacje Instytutu Pamięci Narodowej można zamówić, pisząc na adres Gospodarstwa Pomocniczego IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa. Do podanej ceny książek należy dodać koszty przesyłki pocztowej. Opłata za przesyłkę będzie pobierana od zamawiającego przy odbiorze. Można je także kupić w siedzibach oddziałów IPN oraz w wybranych księgarniach na terenie całego kraju.

K S I A Ź K I I P N

- **„Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1950–1952: taktyka, strategia, metody”**
Tom obejmuje:
 - protokoły z narad kierownictwa resortu bezpieczeństwa publicznego ● przemówienia i referaty ministra BP Stanisława Radkiewicza ● rozkaz ministra BP w sprawie „walki z wywiadem państw imperialistycznych” ● pisma kierownictwa resortu dotyczące spraw i zadań bieżących MBP ● analizy i opracowania obrazujące sposoby zwalczania przez aparat bezpieczeństwa niepodległościowego podziemia zbrojnego, a także „wrogiej działalności” na wsi, w przemyśle, szkolnictwie oraz działających oficjalnie organizacjach społeczno-politycznych. (nakład wyczerpany)

- **„Grudzień 1970 w dokumentach MSW”**
Na zbiór składają się:
 - codzienne informacje o sytuacji w kraju, przeznaczone dla członków najwyższego kierownictwa partynjo-państwowego ● notatki z posiedzeń Sztabu MSW w grudniu 1970 r. (niekompletne) i zapisy telekonferencji z komendantami wojewódzkimi MO, organizowanych w grudniu 1970 r. przez komendanta głównego MO gen. Tadeusza Pietrzaka. (nakład wyczerpany)

- **„Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce w latach 1944–1956”**
Książka jest rezultatem czterech konferencji naukowych poświęconych różnym aspektom funkcjonowania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości w Polsce w latach 1944–1956. Obok opracowań ogólnych dotyczących zarówno polityki karnej państwa, jak i porządku prawnego zamieszczono w niej teksty omawiające konkretne przykłady przestępstw sądowych. Na szczególną uwagę zasługują artykuły o represjach wobec zbrojnego podziemia, duchowieństwa katolickiego oraz chłopów przeciwstawiających się kolektywizacji rolnictwa.

- **„Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych”**
Zawiera 57 krytycznie opracowanych, dotychczas niepublikowanych (z wyjątkiem jednego) dokumentów, które ukazują ówczesne wydarzenia w nowym świetle. Na zbiór – oprócz materiałów wytworzonych przez struktury MSW – składają się m.in.: ● protokoły i informacje z posiedzeń KW PZPR w Radomiu ● dyrektywy i informacje KC PZPR ● sprawozdania Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu. (cena: 20,00 zł)

- **„Rozpracowanie i likwidacja rzeszowskiego Wydziału WiN w dokumentach UB (1945–1949)”**
To pierwszy krytycznie opracowany wybór dokumentów operacyjnych komunistycznych służb bezpieczeństwa. Tom zawiera: ● 96 dokumentów z teczek obiektowych ● raporty specjalne ● sprawozdania dekadowe, miesięczne i roczne z pracy operacyjnej funkcjonariuszy WUBP w Rzeszowie i PUBP w województwie rzeszowskim. (cena: 20,00 zł)

- **„Rozwiązanie kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja”**
Friedrich (Fritz) Katzmann zapisał jedną z najczarniejszych kart okupacji niemieckiej w Polsce. Był współorganizatorem tak zwanej akcji Reinhard (Einsatz Reinhard). Cel akcji – eksterminacja polskich Żydów – został osiągnięty. W latach 1942–1943 w Generalnej Guberni zginęła większość z niemal 3 mln zamordowanych podczas niemieckiej okupacji polskich Żydów. (cena: 45,00 zł)

- **„Dziariusz podręczny 1939–1945”**
Dziariusz podręczny archiwisty Adama Kamińskiego stanowi interesujący zapis życia w Krakowie pod okupacją niemiecką. Z kart jego dziennika wylania się poruszający obraz codziennej walki o przetrwanie: zdobywania żywności, mieszkania oraz pracy. Równocześnie jest to znakomite źródło informacji o ówczesnej obyczajowości: życiu rodzinnym, sposobach spędzania czasu wolnego oraz świętowania. Wiele miejsca Kamiński poświęca swej pracy w archiwum oraz walce o ratowanie dokumentów zagrożonych zniszczeniem. Jego dziennik oddaje także grozę okupacji, dokumentuje wojenną eksterminację, wywózki mieszkańców Krakowa do Oświęcimia, likwidację getta krakowskiego, wreszcie pobyt autora w obozie w Płaszowie. Swe zapiski Kamiński uzupełnia wiadomościami z prasy codziennej o aktualnych wydarzeniach wojennych. (cena: 30,00 zł)

- **„Świadectwa stanu wojennego”**
Świadectwa stanu wojennego to 28 relacji wybranych tak, by pokazywały różne formy działalności opozycyjnej i wszystkie regiony Polski. Dostarczają one wielu informacji na temat oporu społecznego, pozwalają poznać motywacje konkretnych osób. Mogą być ciekawą lekturą nie tylko dla historyków, lecz także dla socjologów i psychologów społecznych. Pozwalają skonfrontować własne doświadczenia z przeżyciami innych. (cena: 25,00 zł)

- **„Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983”**
Tom (książka) zawiera 54 publikowane po raz pierwszy dokumenty ukazujące genezę, przebieg oraz skutki stanu wojennego. Ilustrują one najważniejsze przedsięwzięcia podejmowane przez władze PRL przed i po 13 grudnia 1981 r. Pochodzą z zasobów IPN i piętnastu innych archiwów (m.in. Archiwum Akt Nowych, Archiwum Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, Archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości) oraz zbiorów prywatnych. (cena: 35,00 zł)

K S I A Ź K I I P N

